



№ 385.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 lutego 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie.
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Luzak podprowadzający konia podczas utarczki (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Strzechy ubogich (poetya). — Przegląd polityki zagranicznej. — Teatr w wyobraźni tych co go nie znają (8 drzeworytów). — Płyty kamienne w Nowym Sączu (z drzeworytem). — Pobieżny rzut oka na niektóre zamczyska (2ma drzeworytami). Dokończenie — Przegląd piśmienniczy (dokończenie). — Korespondencya paryzka. — Banki zaliczkowe (dokończenie). — Szachy. — Rebus. — Trochę o poezyi i o sądach o niej wydawanych. — Korespondencya lwowska. — Pierwsza pacjentka. (Powieść). Dalszy ciąg. — Korespondencya od redakcyi. — Helena (Powieść). Dalszy ciąg.

Kronika tygodniowa.

W bieżącym roku zauważyliśmy w Warszawie znaczne ulepszenie.
W ostatnich czasach powstało tu kilka zakładów traktierniczych, w których przy czystości nakrycia

Właściciel jednego z takich zakładów powiedział nam, że przy małym stosunkowo, ale za to częstym zysku, jest jednak w możności zebrania w przeciągu kilku lat sporego kapitaliku, który dostatecznym będzie wynagrodzeniem za jego starania.
Pytamy się więc dlaczego płaciliśmy i płacimy dotychczas tak hojny haracz pierwszorzędnym firmom? Czy licze zadowolenie miłości własnej, że się zja-

dze, braku serwet, wspólności chleba, z którego po kilku dobrych zacięciach sam tylko gliniasty środek pozostaje i zadymionych ścianach, które się jednak czystymi jeszcze wydają przy nigdy niemytej podłodze i rzadko pranych obrusach.
Czyliby sama publiczność, przestając uczęszczać do tych niepoprawnych zakładów, nie wpłynęła tym sposobem na zaprowadzenie w nich potrzebnych,



LUZAK PODPROWADZAJĄCY KONIA PODCZAS UTARCZKI, (Kopia z obrazu Brandta, który w r. 1866 znajdował się na wystawie krakowskiej).

i porządku usługi, ceny pozostają przystępnymi dla ludzi średniej zamożności.
Ceny te o połowę są mniejsze aniżeli w tak zwanych pierwszorzędnym restauracyach, kiedy tymczasem zapłata za lokal prawie też sama, nakrycie i wszelkie przybory stołowe również wytworne, a usługa pewno mniej nie kosztuje.

do obiad lub śniadanie u modnego pana tego lub owego, wynagrodzi nam choć w części stratę pieniężną, na jaką najniepotrzebniej narażamy się tym sposobem?
Pytamy również, dlaczego inne drugorzędne traktynie, nie zniżając cen, pozostają jednak przy swoim tradycyjnym niechlujstwie, nieładzie wusłu-

ki koniecznych nawet ulepszeń?
A jeżeli radykalna zmiana, w dwóch albo trzech zakładach gastronomicznych zaprowadzona, znajduje takie powodzenie, czyliby nie należało pomyśleć i innym przemysłowcom o pogodzeniu tak łatwo osiągnąć się dającym słusznych wymagań publiczności z własnym zyskiem?

Wielu z nas jeszcze pamięta, jakiego nagłego przewrotu w warszawskim handlu cukierniczym stało się powodem zniżenie cen w cukierni p. Grohnerta.

Ale powoli rzeczy wróciły do dawniej miary i dzisiejsze ceny wcale już nie różnią się od przed-Grohnertowskich.

Pojmujemy że poszukiwane firmy, jak Czajkowskiego lub Lours'a, mogą nakładać wyższe ceny na słodycze swojego wyrobu. Cukiernicy ci sprowadzają z wielkim kosztem rozmaite ulepszenia i wzory z zagranicy, jak np. maszyny parowe do czekolady, a zresztą w takich, rzeczach wyłącznie już prawie zbyt kosztownych, gust i inwencja popłacają zawsze i wszędzie. Ale dlaczego duma jakaś firmowa każe jednemu lub drugiemu cukiernikowi, korzystającemu z monopolu na całą ulicę rozciągniętego, stosować ceny Lours'a do cukierków wyrobionych z mączką i krochmalem, a ceny Czajkowskiego do ciastek na nieświeżym maśle wysmażanych, tego już doprawdy nie pojmujemy.

Koniecznym, niezbędnym jest u nas zniżenie cen przedmiotów codzienną potrzeby. Wydatki ciągle rosną, a dochody się zmniejszają. Każdy się skarży, a nikt radzić nie umie. Ruina grozi, i to nie żartem. Handlowy obrót pieniężny musi koniecznie iść leniwo, bo ci którymby najbardziej o ożywienie go chodzić winno, wpływają jeszcze sami przez jakiś dziwnego rodzaju konserwatyzm na utrudnienie jego ruchu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie pomoże ani korzystne położenie miasta, ani mnożenie się środków komunikacyjnych przez ciągłe budowanie nowych linii dróg żelaznych. Będą towary przychodzić do Warszawy, ale nie będzie komu kupować. Tylko według możliwości zniżenie cen, choćby częściowe, wpłynąć zdoła na ożywienie handlu.

A że to może mieć miejsce, rzecz niezawodna. Mamy jasny tego dowód na naftalinie, której cena zniżyła się nagle o kilka złotych na garncu, a stało się to za powodem jednego tylko hurtownego składnika, który dla lepszej rozprzedaży postanowił na mniejszym poprzestać zysku. Przecież za granicą tak znacznie w przeciagu kilku dni ceny nie zniżyły się, a agio na pieniądzach płacone, bardzo niewielką w tym czasie okazuje różnicę. Widocznie więc te kilka złotych na garncu były uciążliwym podatkiem, samowolnie przez kilku przemysłowców na ogół nałożonym. A z takimi podatkami musowemi co krok prawie spotkać się można; tylko niezawsze znajdują się sumiennie, a raczej rozumnie o zysk swój dbali hurtownicy, którzyby zechcieli publiczności przez dobrze zrozumiane współzawodnictwo dogodność uczynić.

* * *

Słyszeliśmy że jeden z najmajętniejszych obywateli tutejszych ma zamiar urządzić w taki sposób bogaty swój księgozbiór, ażeby dla każdego stał się przystępnym, a więc pomieściwszy go w stosownym lokalu, ustanowi nad nim nadzór ludzi naukowych, którzy pilnując bezpieczeństwa książek w skład tej biblioteki wchodzących i zajmując się systematycznym a ciągłym jej powiększaniem, zarazem dla tych którzy zapragną z nagromadzonych tam skarbów wiedzy korzystać, dawać będą stosowne wskazówki, rady i objaśnienia. Bliższych szczegółów nie znamy jeszcze; w każdym jednak razie uważamy zamiar ten założenia czytelnika na wielką skalę jako bardzo użyteczny i dobrze obmyślany, bo chociaż Warszawa posiada już jedną bibliotekę publiczną, być bardzo może iż okaże się ona z czasem niewystarczającą dla zadowolenia wszystkich wymagań, témbardziej że wyższy zakład naukowy jaki posiadamy, będzie nam ciągle dostarczał nowych szeregów ludzi pragnących i mogących z pożytkiem oddawać się ścisłym badaniom naukowym. W każdym razie jedna biblioteka kompletuje drugą i dopełniają się one wzajemnie, w najstarszym bowiem zbiorze zawsze się znajdują braki, dotkliwie czuć się dające.

* * *

Otrzymaliśmy od pani A. S. list uzalający się na pomieszczony w Kurjerze Świątecznym artykuł pod tytułem Świadectwo guwernantki. Rzeczywiście w artykule tym w zbyt jaskrawych barwach i ze złośliwością właściwą piśmiom humorystycznemu skróślony jest obrazek nie już guwer-

nantki, bo wymieniona tam panna Fortunata na to miano nie zasługuje, ale pierwszój lepszej kobiety wcale nie przykładnego zachowania się. Być bardzo może, iż, jak się to w Kurjerze Świątecznym zdarza, jest to przesadna i skarykaturowana fotografia jakiego śmiesznego oryginału, która będąc wytknięciem indywidualnych tylko zboczeń, ogółowi wcale nie ubliża.

Po kilka razy odzywaliśmy się już sami w tej kwestyi i zaliliśmy się że często wychowanie dzieci powierzaniem u nas bywa kobietom na los z zagranicy sprowadzanym, nie dającym żadnego upewnienia moralnego, a w każdym razie nieodpowiednim trudnym obowiązkiem jakie kierownictwo młodego pokolenia za sobą pociąga. Jest takich bardzo wiele, które wrzekomo matkę dzieciom mają zastępować, a których rzeczywiste kwalifikacje nie odpowiadałyby nawet temu, czego od dobrej służącej wymagać mamy prawo. Wada to społeczna, bardzo dawno u nas zakorzeniona i z której z trudnością poprawić nam się przychodzi, pomimo licznych niedogodności, a nawet niepowetowanych szkód, jakich ona staje się powodem.

Nie przeto twierdzić należy, żeby to złe, niestety bardzo rozpowszechnione, miało ogólną stanowić zasadę. Owszem, znajduje się u nas wiele kobiet, zwłaszcza rodaczek naszych, które zaszczytnie umieją odpowiedzieć pięknemu powołaniu nauczycielki i opiekunki dzieci i w których ręce każda matka śmiało powierzyć może wychowanie tych najdroższych skarbów swoich. Dodać do tego należy, że los tych które się na tak trudny zawód poświęciły, oraz stosunki w jakich zwykle zostają, niezawsze są godnymi zazdrości. Nie dziwnym więc jest że osoba znajdująca się może w tak drażliwym usposobieniu, zanafto bierze do serca pierwszy lepszy wybryk zbyt dobrego humoru pisarza, szukającego przedewszystkiem sposobu rozśmieszenia czytelników. Ale dlaczegoż brać do siebie obrazek, który w żadnym razie za typ ogólny nie może, ani nawet nie pragnie uchodzić? Wszakże w Kurjerze Świątecznym tyśiące takich artykułów pomieszczanych bywa, a gdyby każdy stan chciał brać do siebie często bardzo dotkliwie docinki, mogłyby się ztąd wyrozić nieustanna polemika, bez celu i rezultatu żadnego. Pisma humorystyczne zajmują swoje miejsce w literaturze peryodycznej, są nawet w pewnej mierze potrzebnymi, o ile unikają zbyt wyraźnego dotknięcia osobistości, a w takim razie trzeba się pogodzić z ogólnym ich tonem i sposobem w jaki pragną oddziaływać na ośmięśnienie niektórych zboczeń społecznych, albo wprost tylko zdrożności indywidualnych. Dla czytelników żądających wiecznie rozweselenia, w braku prawdziwego dowcipu, o który zawsze i wszędzie trudno, złośliwość często popłaca. Wszak tenże sam Kurjer Świąteczny zamieszcza niejednokrotnie bardzo ostre przycinki, wymierzone na literatów, publicystów, felietonistów i t. p., a jednakowoż ci ludzie, którzy trzymają pióra w ręku i mają organa publiczne na usługi, nie upominają się o swoje krzywdę, nawet w razie osobistej prawie zaczepki. Wiedzą oni bowiem dobrze o tém, że Kurjer Świąteczny wypełnia tylko swoją rolę chwilowego humorystyka i że doniosłość sarkazmów przez niego wymierzanych, nie sięgnie po za wrażenie chwilowego uśmiechu, a w żadnym razie prawdziwej zasłudze ujmy przynieść nie zdoła.

Spodziewamy się że te kilka słów szczerego wyjaśnienia trafią do przekonania pani A. S. i uspokoją ją, również jak i inne osoby, które mogą się czuć artykułem Kurjera Świątecznego dotknięte, w oburzeniu słusznym zkądnąd, ale niewłaściwym w tym razie.

* * *

Nie wspominaliśmy dotąd o odczytach profesora Dudrewicza „O odżywianiu się organizmu ludzkiego, za pośrednictwem pokarmów“, czekaliśmy bowiem na koniec tych odczytów, które na trzy części były podzielone. Rzeczą jest godną uwagi, że nauka potraça teraz co chwila o kwestye codzienną doniosłości, i żałujemy że stosunkowo tak niewielu słuchaczy znalazły odczyty szanownego profesora, bo prawdy tak jasno tam przez niego wyłożone i oparte na najświeższych badaniach naukowych, mogłyby i powinny znaleźć zastosowanie w warunkach

życia codziennego. Rzeczywiście umiejętne zachowanie się w wyborze pokarmów dla człowieka dbającego o własne i rodziny swojej zdrowie jest rzeczą konieczną, a wiele klęsk trapiących obecne pokolenie powstaje właśnie skutkiem niehygienicznego używania pokarmów. Sądźmy jednak że wyjątek z Nędzników Wiktora Hugo, którym profesor zakończył ostatnią prelekcją, dobry w książce, wywarł w żywym słowie zbyt jaskrawe wrażenie, którego by oszczędzić może wypadało pewnej części publiczności na prelekcji zebranej. Bo książkę można czytać samemu, bez obowiązku dzielenia się z kimkolwiek wrażeniem; odczyt zaś publiczny jednoczy w nieunikniony związek wszystkich zgromadzonych w jednej sali słuchaczy i daje pole do komentarzów, które niekażdy, a głównie niekażda, radziby słyszeć głośno powtarzane. Nauka ma wielkie swoje przywileje, ale tylko w ścisłym znaczeniu tego wyrazu; popularyzując się jednak, korzystać z nich zbyt szeroko nie powinna.

Wykład pana Kaźmirza Kaszewskiego „O stosunku poezyi do innych sztuk pięknych“, odznaczał się treściwym zebraniem głównych praw na polu estetyki poczerpniętych. O tych rzeczach pisano już bardzo wiele; pomimo tego jednak, a może właśnie dlatego, mało kto z nas posiada o nich dokładne wyobrażenie. Za dowód starczy że co krok możemy się spotkać z grubą nieświadomością w tej tak ważnej kwestyi, ze strony tych nawet, którzy przyjmują na siebie obowiązek oświecania innych. Pan Kaszewski w końcu swego wykładu wybornie i jasno skróślił nam różnicę jaka zachodzi w stosunku poetyckim dwóch naszych znakomych poetów, Mickiewicza i Słowackiego, twierdząc iż ten ostatni, wyzwalający się zanadto z przyjętych zasad formy słowa, staje się zbyt eterycznym, często niezrozumiałym i w takich razach tracąc niejako prawo do tytułu poety, powinien otrzymać miano wzniesłego choć indywidualnego często marzyciela. Bo i poezya, której najszczytniejszych wyzyna sięga jest dano, powinna poczynać się zawsze do swojego ziemskiego początku, nie zapominając że do ludzi przemawiać jej należy i że musi być przez nich zrozumiana, jeżeli pożądany wpływ wywrzeć pragnie. Żałujemy że piękny ten wykład w tak szczupłym ograniczył się zakresie, zawsze bowiem byliśmy zdania, że kwestye dotyczące najsilniejszych czynników, to jest serca i wyobraźni ludzkiej, większe budzą wrażenie, aniżeli kwestye czysto naukowe.

* * *

Pieśni Mirona, wyszłe przed kilku dniami w druku nakładem L. Grossmana, składają się w znacznej części z utworów różnemi czasy w piśmiach naszych czasowych pomieszczanych, co jednak wcale nie odejmuje zajęcia temu zbiorowi, w którym znajdzie się niejedyn ustęp prawdziwym nacechowany talentem. Pióro Mirona dobrze jest znane czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego, w naszym bowiem piśmie pomieszczał on, jeżeli się nie mylimy, pierwsze swoje utwory, odznaczające się pięknnością i oryginalnością formy, oraz wielką łatwością w umyślnym czasem nagromadzeniu barwnych choć sprzecznych ze sobą obrazów. W każdym razie młodemu temu autorowi, jeżeli praca a dobra wola dopiszą, można śmiało rokować przyszłość. A na czasy posuchy piśmienniczej, może także w części obojętnością publiczną spowodowanej, każdy objaw prawdziwej zdolności, jest pocieszający.

Przegląd polityki zagranicznej.

8 lutego.

Telegramy wiedeńskie przyniosły nam nową niespodziankę. Hr. Belcredi, przedstawiciel, a raczej gorliwy poplecznik federalizmu, podał się do dymisji. Jakkolwiek pobudki tego ważnego kroku nie są jeszcze dokładnie znane, można jednak wnioskować z gazet wiedeńskich, jakie przyczyny skłoniły ministra stanu do wystąpienia z gabinetu. Głównym orędownikiem dualizmu, a więc i ustępstw na korzyść Węgrów, jest p. Beust, ten zaś, oświadczając się aby rada nadzwyczajna nie odrzuciła lub nie puściła w odwłokę pojednania z Węgrami, wniósł na radzie gabinetowej propozycją zwołania rady ścieśnionej, zamiast

nadzwyczajnej. Tym sposobem rada ścieśniona, nie posiadając władzy nadanej patentem z d. 2 stycznia r. b., zatwierdziłaby wprost układy z Węgrami. Pan Beust proponował zarazem, aby projekt ustawy dla krajów niewęgierskich, przedstawionym był téż radzie ścieśnionej, sądzi bowiem iż ani Niemcy, ani Słowianie nie będą tego uważać za niewłaściwe. Wątpić wszakże należy, aby zmiana ta podobać się mogła sejmom słowiańskim, rada bowiem ścieśniona działać będzie pod naciskiem stronnictwa centralistów, wbrew przeciwnego federalistom. Jednocześnie z tém wszystkiém telegram z Wiednia donosi, że p. Beust otrzyma tytuł kanclerza państwa i że Franciszek Józef powierzył mu utworzenie nowego gabinetu. Ponieważ Węgrzy otrzymują osobny gabinet, a kraje cislejtańskie mają swoich odrębnych ministrów, przedstawicieli, ujrzymy przeto w Austrii trzy gabinety jednocześnie urzędujące: ministeryum ogólne, węgierskie i cislejtańskie. Czy tak skomplikowana maszyna rządowa będzie mogła działać skutecznie, to bliska przyszłość okaże. Jako dopełnienie tych wiadomości dodać należy i to jeszcze, iż według krążących w Wiedniu pogłosek, książe Auersperg zostanie prezesem ministrów gabinetu cesarstwa (ogólnego), a namiestnik Galicyi hr. Góhuchowski, kanclerzem nadwornym galicyjskim. Z Pesztu donoszą, że posiedzenia tak zwanéj komisji sześćdziesięciu i siedmiu ukończone zostały, z pomyślnym dla pojednania z koroną skutkiem.

Dnia 24 z. m. ogłoszono we wszystkich znaczniejszych miastach Szlezwiagu i Holsztynu patent królewsko-pruski, na mocy którego oba te księstwa włączają się do monarchii pruskiej. W patencie tym nie znajdujemy wzmianki o duńskiej części Szlezwiagu, ta zaś, jak wiadomo, z mocy traktatów zawartych w Pradze i Nikolsburgu, oddaną być miała Dani. Wnioskowano ztąd, że Prusy nie chcą wykonać warunków ostatnich traktatów; zdaje się wszakże iż przypuszczenia te były mylne. Po oświadczeniu księcia Hohenohe w izbie bawarskiej, dzienniki francuzkie, przedewszystkiém zaś urzędowe, podniosły wrzawę, niby protest przeciw złączeniu się Niemiec południowych z północnymi, lecz urzędowe dzienniki berlińskie uspokoiły opinią oświadczeniem, że Prusy trzymać się będą ściśle litery traktatów i nie wejdą w pojedyncze przymierza z pomniejszych władzami niemieckimi. „Niech południe, powiada Nord. Allg. Ztg., urządzi się jako Związek południowo-niemiecki, a wtedy dopiero będą Prusy w prawie zawierania z niem przymierza.“ Jeżeli więc gabinet pruski trzyma się ściśle traktatu pragskiego, to prawdopodobnie dopuści w północnym Szlezwiagu głosowanie powszechne, które stanowczo wyrzeczy, przy kim ta część kraju ma pozostać. Wybory do parlamentu północnego nie ustają i wypadają, jak dotąd, na korzyść stronnictwa umiarkowanego. Dzienniki urzędowe zbijają wieści rozsiewane przez prasę belgijską, o mniemanej nienawiści Prus względem Francji i przygotowaniach do wojny.

Stanom Zjednoczonym północnej Ameryki [znowu grozi wojna domowa. Starcie konstytucyjne, a raczej spór prezydenta z radykalistami, wzmógł się do takiego stopnia, że urzędowy dziennik Constitutional Union, otwarcie grozi wojskiem i flotą, które staną po stronie p. Johnson i skarżą wszelką zdradę. Prezydent oświadczyć miał, że żadne pogroźki radykalistów nie odstraszą go od sprawowania władzy najwyższej w Stanach, której termin upływa dopiero w dniu 4 marca 1869 roku.

W dniu 5 b. m. nastąpiło otwarcie posiedzeń parlamentu w Londynie, przyczém w mowie tronowej powiedziano między innymi: „Anglia i Francja nie mieszają się bezpośrednio do spraw chrześcijańskich, lecz starają się o polepszenie ich położenia, bez nadwężenia praw sułtana? Ciekawa rzecz, jak mocarstwa zachodnie dopną swego celu w obec takiego stanu rzeczy w jakim się dziś Porta znajduje. Z jednej strony umierający żywioł turecki ani pragnie, ani zdolnym jest nawet do rzeczywistej sprawiedliwych dla chrześcijan ustępstw, z drugiej chrześcijanie marzą o zupełnym uwolnieniu się z poddaństwa tureckiego. Tak np. Serbia, której Turcy stale wszelkich ustępstw odmawia, zbroi się potężnie, zgromadza armią, powołuje rezerwy pod broń i organizuje legion akademicki, tak że wkrótce 200,000 ludzi gotowych stanie do boju. Nawet mahometanci poddani Egiptu marzą o niepodległości, jak to z żądań wice króla widzieć się daje.

Powtarzamy raz jeszcze — panowanie pół-księżycy zbliża się ku końcowi, a zabiegi Anglii i Francji nie uratują go od niechybnej zatury.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Pobieżny rzut oka na niektóre zamczyska i tak zwane góry sypane w okolicach Suwałk.

Skręślił

Aleksander Osipowicz.

(Dokończenie).

Owa zamkowa góra przedstawia u podstawy nieregularny okrąg koła, a u szczytu czworokąt z bokami (które stanowią wały budowane z polnych kamieni darniną przekładanych) ustawionemi w kierunku czterech okolic świata. W środku wysokości góry idzie drugi rząd podobnych szanów, równoległych do poprzednich. Przestrzeń ziemi zawarta pomiędzy bokami górnego czworokąta jest powierzchnią pochyłą ku południowi, nierówną, mającą zagłębienia okrągławe w czterech rogach, które zdają się być zawałonemi wnętrzami baszt narożnych, a raczej kazamat, w kątach czworoboku niegdyś mogących się mieścić.

Na całej powierzchni zamczyska, u szczytu i po bokach mniej spadzistych, oddawna uprawianej pod zasiewy, nie widać najmniejszych szczątków fundamentów, cegieł lub wapna, węgla, skorup naczyń domowych, szkła lub innych szczegółów przekonać mogących o stałym zamieszkaniu téj wyniosłości przez ludzi. Nierówna powierzchnia gruntu leżącego pomiędzy bokami czworokąta górnego, zasiana tu i owdzie potężnymi głazami, jak się zdaje od wieków nieruszanemi z miejsca, nigdy zapewne nie była zajmowaną pod żadne budowle. Obok jednego z tych głazów piszący te słowa znalazł kilka skorup i szczątki przepalonych kości ludzkich, ulewę wymyte z wnętrza ziemi. Skorupy te grube, pomieszczone z kawałkami miki, pochodziły z urn, w których znać mieściły się owe kości wraz z popiołami ciała, zapewne kiedyś w tych miejscach obyczajem pogańskim spalonych.

Przy oraniu ziemi na téj górze znajdowano często groty strzał lane, jakieś spiralne, metalowe skręty, szczątki łańcuchów i t. p., ale żadnych zabytków sprzętów domowego użytku, wyjąwszy żelazne kowadło, które tu kiedyś wyorano.

W okolicy zamczyska są wyniosłości, z których jedna nosi miano góry kościelnej, a wierzchołek jęj, dziś zarosły gajem, najeżony jest mnóstwem dużych kamieni, jakby z rozsypanych ścian jakiegoś dużego budynku pochodzących. Drugą nazywa lud górą mosiężną, dlatego że na niej znajdują po dziś dzień szczątki bronzowych rynsztunków wojennych. Autor Wędrowek po gubernii augustowskiej wymienia jeszcze jakąś miejscowość ościenną, zwaną *starém zamczyskiem* i *górką cmentarną*, oraz przytacza: „za jeziorem (za którym z trzech wyżej wymienionych?) na sąsiednich polach wsi Wodziłki i Szurpiły, przez Filiponów osiedlonych, przy oraniu znajdowano i dotąd wydobywają się liczne lance, jakby po całym hufcu zbrojowego ludu.“ A jest tu bardzo blisko wieś nosząca nazwę Targowiska, co mniemanie badaczów tego przedmiotu, że góry zwane horodyszczami lub okopiszczami, służyły kiedyś nie tylko za miejsce ofiar i narad gminnych, ale nadto za punkt wymiany czyli miejsce handlu, potwierdza.

Z tego co się powiedziało wnosić się godzi, że Surpiły, (a tém mianem ogarniamy górę opisywaną, wraz z wyniosłościami wyżej wymienionemi) tak ze względu na geograficzne znaczenie i fortyfikacye ręką ludzką z niezwykłą starannością i pracą, na skalę obszerniejszą niż we wszystkich innych tutejszych horodyszczach niegdyś powznoszone, były kiedyś ważnym punktem militarnym w zapasach Litwinów z Krzyżakami. Dlatego dziwić się trzeba, że w kronikach opiewających dzieje tych walk przeciągłych, krwawych i bohaterskich nigdzie nazwy Surpił nie spotykamy. Że staczano tu walki i niemałe, wydobywane w wielkiej ilości oddawna szczątki orężów z wnętrza ziemi przekonywają. Że punkt ten, tak nieodległy od ziem krzyżackich, a tak obronny i przycém położony w kierunku wycieczek zajezdniczych na Grodno, był znany Krzyżakom i nawiedzany przez nich, wątpić o tém nie można. Nieobecność więc w kronikach nomenklatury Surpiły, dozwala się domyślać, że miejscowość ta u Krzyżaków inne nosiła nazwisko, albo zupełnie

niemieckie, to jest przetłumaczone, jak to mieli w zwyczaju, lub tak przekręcone, że go teraz poznać niełatwo. Nomenklatura Sunenpile, napotykana w kronikach, najwięcej ma analogii z naszymi Surpiłami, ale inne geograficzne nazwy wiążące się z tém Sunenpile, bynajmniej tożsamości ich z Surpiłami nie dowodzą. Chyba żeby jedną z nich, to jest Lan-kisen, zastosować do nazwy Łakiński, jaką nosi dziś folwark położony o milę dobrą od Kalwaryi w dół Szeszupy, nad jęj brzegiem, gdzie podobno jest jakieś zamczysko, na którym nawet ruiny murów się dochowały. Jeżeli zaś nazwa Surpiły w ustach ludu uległa przekręceniu jakowemu, toby przypuszczać godziło się, że mogły się one wymawiać ongi Surwiły (1), od rodowego miana Surwił, a właśnie Wigand pod rokiem 1365 jakiegoś Surwiłła mieni być bratem *Kynstuta*.

Mamy pod ręką rękopis dotyczący procesu o dobra Surpiły, prowadzonego ze skarbem przez Kiewliczów od lat dawnych, w którym czytamy następującą relacyą. „Jeszcze w roku 1300 Krzysztof Spicimir Leliwita Kiewlicz, kasztelan sandomierski, kupił prawem własności od panującego podówczas ks. litewskiego dobra ziemskie Surpiły, gdzie był i zamek Surpiły, włók litewskich 470 obejmujące, i do tego 7 jezior zwanych: Surpiły, Gieglinie, Gulbino, Ondzinko, Andziejko, Jaczne, Okmin i t. d.“

Jest podanie gminne, dotyczące niektórych szczegółów i granic dóbr owych, dość ciekawe, które nie od rzeczy będzie tu przytoczyć. Wedle tego podania, oprócz zamku Surpiły, był jeszcze inny zamek na górze, zwany Krzemionka (o godzinę drogi od Suwałk, punkt najwyższy podobno wyniesiony z całej gubernii, bo wedle obliczeń technicznych około tysiąca stóp nad powierzchnią Baltyku, a widać z owęj wyniosłości rozległy widok w promieniu kilkomiłowym). Otóż dwie rodzone siostry, dziedziczki dóbr o których mowa, mieszkając w swych zamkach wzbudających nad lasy i góry, miały zwyczaj zasysać sobie dzień dobry, powiewaniem białych chustek z wysokości wieżyc zamkowych. W ustach ludu prostego epizod ten rodzinnej tklivosti dwóch sióstr mieszkających zdala od siebie na wysokich zamkach, słowem epizod mający koloryt walterskotowski, niewysłowiony ma urok.

Co do granic, to wedle tradycy gminnych, dobra Surpiły w stronę wschodu słońca miały się kończyć nad jeziorem wygierskiem, niedaleko wsi Bryzga, wprost wsi Walne i wsi z drugiej strony odnogi jeziora położonej, nazwiskiem Słupie. Wsie Walne i Słupie, jak niesie podanie, nazwy swe otrzymały: pierwsza od wału granicznego, a druga od granicznego słupa. Oglądaliśmy ów wał na własne oczy, a jest to nasyp parę stóp wysoki, ciągnący się w prostej linii od jeziora Walne do jeziora wygierskiego, w kierunku wsi Słupie. Wieśniacy utrzymują, że naprost wału dotykającego brzegów, w tém ostatniem jeziorze znajduje się zabity w wodzie pal dębowy okuty blachą miedzianą, i że w tym palu umieszczona jest skrzynka żelazna, w której zawiera się dokument opisujący szczegółowo rozległość i granice dzielnic Kiewliczów. Niech nam będzie przebaczone to zboczenie od przedmiotu głównego, do którego téż wracamy z należytą skruchą. Ale wyznajemy zarazem, że żal nam było przemilczeć te podania; mało ich mamy, a i te zacierają się każda chwila...

3. *Góra sypana pod Urdominem*. Na trakcie bocznym prowadzącym z Kalwaryi do Łozdziei, tuż obok wsi kościelnej Urdomin, znajduje się wyniosłość wgrze, uwieńczone wałem budowanym z kamieni na darń, w kształcie elipsy, z dwoma wejściami po końcach średnicy większej umieszczonemi. Żadnych śladów fundamentów budowlanych, żadnych zabytków sprzętów ni narzędzi domowych tu nie znajdują. Lud okoliczny nazywa tę górę niekiedy zamczyskiem, niekiedy okopami szwedzkimi. Oprócz własności, że góra ta jest punktem najwzniolejszym w kilkomiłowym promieniu i że daleki z niej widok na wszystkie strony, żadnych ona militarnych zalet nie przedstawia. Wały zaś wzmiankowane, tak ze sposobu budowania ich, jakoteż kształtu zewnętrznego i figury jaką tworzą, nie noszą na sobie cechy najmniejszej znajomości robót fortyfikacyjnych, na jakiej Szwedom nie zbywało. Śmięsznym byłoby

(1) Starożytna Polska pod nazwą Surwiliszki parę miejscowości zaniemeńskich wymienia.

TEATR W WYOBRAŹNI TYCH CO GO NIE ZNAJĄ.

Szkice F. Kostrzewskiego.

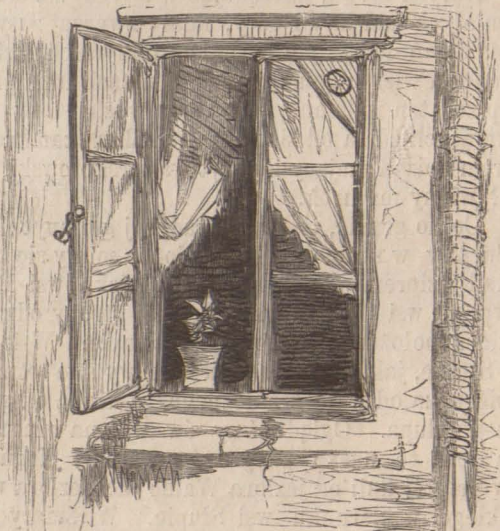
(Dokończenie).



Żona która oknem wyskoczyła.

przypuszczać, żeby wojacy tak wytrawni okopywali się w elipsę. Prędzej można sądzić że Szwedzi, znalazłszy wyniosłość oszańcowaną na sposób odwieczny, pogański, w braku lepszej, skorzystali z niej na razie, uznawszy ją za dostateczną na cele chwilowe.

Co do Urdomina, żadnej w kronikach nie napotykamy wzmianki, pod nazwą zaś Rudomina Starożytna Polska, oprócz niektórych miejscowości za niemieńskich, rozumie i nasz Urdomin, mieniać go być kolébką rodu szlacheckiego Rudominów



Okno na pierwszym piętrze.

Dusiackich.

Ze względu na sposób uformowania wałów i figury opisywanej przez nie na szczycie góry, uważamy tę miejscowość za litewskie *pile*, mające analogią z tym co nazywają pierścieniami awarskimi. Jeżeli zaś jest to litewskie *pile*, to w tym wyjątkowe, że wbrew przyjętemu zwyczajowi nie leży nad żadną wodą, ale w czystym polu.

Niedaleko tej miejscowości, w gruntach folwarku



Faworyta.

Przeławszczyzna, oglądaliśmy niewielkie wzgórze, z usypanym na wierzchu wałem w nieregularny czworobok, nie noszące żadnej nazwy i niczym szczególnym nie odznaczające się; żadnych też podań miejscowych o tej górze nie udało nam się dowiedzieć, a na wszelkie pytania dawano nam jedyną odpowiedź: to zamczysko... to stara zamkowa góra... to jakieś okopy... i t. p.

4. *Horodyszczce nad jeziorem Hańcza.* O małą milkę na zachód Surpił, jest wzgórze kształtowane ręką ludzką, ale bez żadnych wałów, nazywane górą lub zamczyskiem, bardzo podobne do zamczyska rajgrodzkiego wyżej opisanego. Żadnych podań nie znamy co do tej miejscowości i żadnych danych



Małżeństwo przy latarniach.

co do niej nie doczytaliśmy się nigdzie. Jest wprawdzie gdzieś wzmianka, że Władysław Jagiełło, polując kiedyś w puszczach wygierskich, będąc zaskoczony zdradą przez Krzyżaków, byłby dostał się w ich ręce, gdyby nie zdążył schronić się do swego zamku zwanego Jancza... gdzie jednak ta Jancza była, niewiadomo, ale zawsze gdzieś w tych stronach niedaleko Wygier, a zatem być może bardzo że w miejscowości o której mowa.



Sztuka i handel

Widzieliśmy jeszcze górę oszańcowaną u szczytu w kształt elipsy kamieniami na darń, nad rzeką Rauswią, tuż przy folwarku Pilokalnie, niedaleko Bartnik, o 2 godzin drogi na zachód miasta Kalwaryi. Wzgórze to, z trzech stron od rzeki nader wyniosłe i spadziste, z czwartej zupełnie jest dostępne, i z tej strony właśnie było wejście w obręb wałów, bronione przekopem i szańcem kilkanaście łokci długim, w linii prostej o kilkadziesiąt kroków od tego wejścia wyciągniętym. Wzgórze to, z samego nazwiska Pilokalnie będące czystym litewskim *pile*, wznoszące się właśnie w miejscowości nazywanej *wingas*, to jest przestrzeni wyniosłej, ze trzech stron wodą oblanej, ze swego obronnego położenia, starannego i okazałego



Wolny strzelec.

usypania okopów, tudzież przodowego wału, zaliczamy do najznakomitszych w gubernii tutejszej.

O jakie parę wiorst na wschód tej okolicy, w gruntach folwarku Nowinka, niedaleko osady Egłiszki, jest także wzgórze oszańcowane, ale w niewielkim zakresie i wcale nie kunsztownie.

Oprócz tego nieopodal jest wieś Pielany, niedaleko folwarku Nowosady, przy której, jak nas zapewniano, znajduje się także parę wzgórz oszańcowanych, a zatem trzy te miejscowości, to jest Pilokalnie



Przebudzenie się lwa.

nie, Nowinka i Pielany, tworzą coś naksztalt trójkąta strategicznego.

* * *

Otóż pobieżnie opisaliśmy kilka okopiszc, z których rajgrodzkie i hańczańskie uważamy za jednorodne, urdomińskie zaś za zbliżające się z wielu względów do pilokałńskiego; okopiszcze w Przeławszczyźnie za podobne do horodyszczca w Nowince.



On i ona.

Surpiły stanowią specymen jedyny w swoim rodzaju, a o okopach w Pielanach nic nie możemy powiedzieć, bośmy ich na własne oczy nie oglądali jeszcze.

Pojmujemy dobrze, że dorywczy ten opis niewiele się na co przyda i że w kwestyi zdefiniowania znaczenia owych dzieł ziemnych, przed wiekami wzniesionych ręką ludzką, trzeba zbioru danych z różnych stron, a i to kto wie czy wystarczy dla nauki, gdy wedle twierdzenia podróżników na drugim półkuli, wśród pustyni ogromnych, znajdują się okopiszczka, góry sypane, pile, zupełnie podobne do naszych, i z głębi ziemi zdarza się tam wydobywać kamienne toporki i młoty, nietylko zewnętrznie do znajdujących u nas podobne, ale i z takiegoż samego materiału wyrobione.

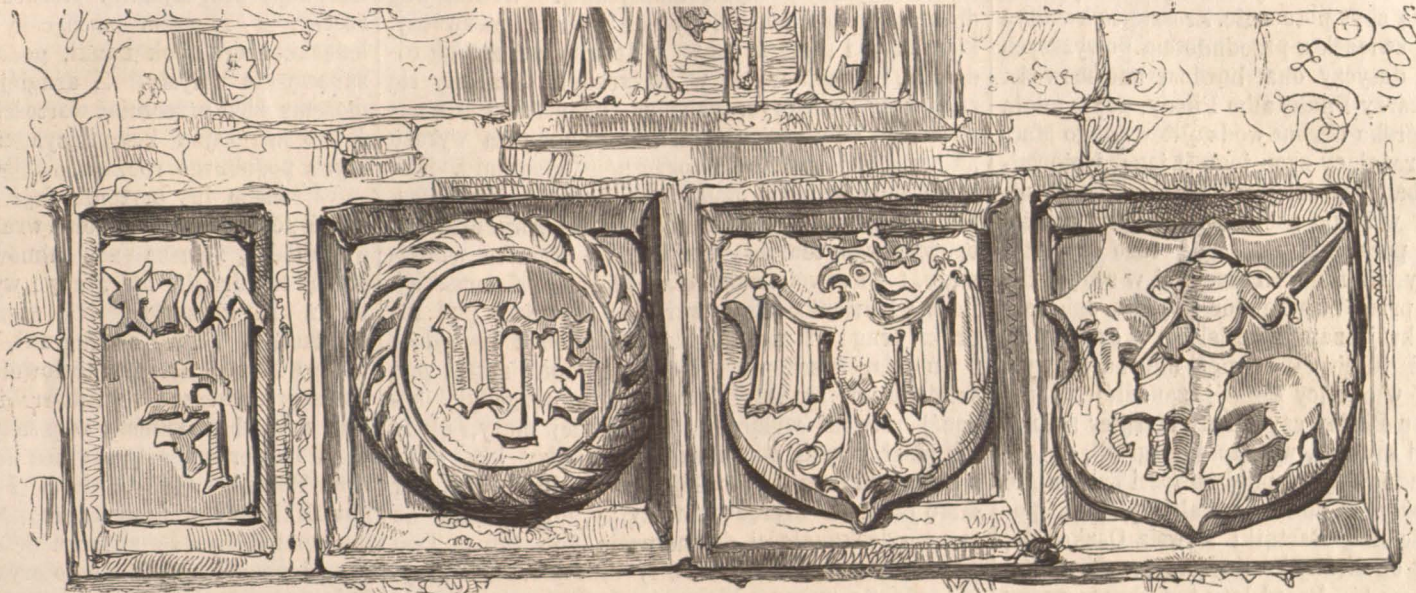
Wszakże tam zwyczaju sypania gór oszańcowanych na pewien ład przyjęty i używania kamiennych oręży na jeden tryb wyrobionych, wędrówki narodów nie zanosły ani przed Kolumbem, ani po nim, bo ocean w owych odległych czasach jeszcze nie był zawojowany przez ludzi ani żaglem, ani parą. Przypuszczać więc godzi się, że wszędzie rozum ludzki od tych samych przyczyn do podobnych rezultatów

na których żadne budowle nie stały i które wyłącznie na grzanie ciał lub chowanie ich popiołów nie były przeznaczone?

Widzieliśmy już wyżej z opisu pogrzebu Świętorga, że góra nad popiołami jego okopana, służyła następnie za miejsce ofiar i przytułek kapłanom pogańskim czyli wróżbitom, jak ich nazywa Strykowski. Wielu badaczy zgadza się na to, że takie

dy zachodziła konieczność naradzenia się nad wspólną obroną lub potrzebą ogół obchodzącą, a nie było jeszcze ani wsi, ani zamków, ani miast, to takie, tylko punkta musiały być naznaczone na odbywanie narad, sądów i wymianę artykułów wzajemnie pożądaných. Nic też dziwnego że takie oszańcowane wzgórza ciągnęły się w pewnych przerwach i w pewnych kierunkach, bo zamiast udawania się gdzieś

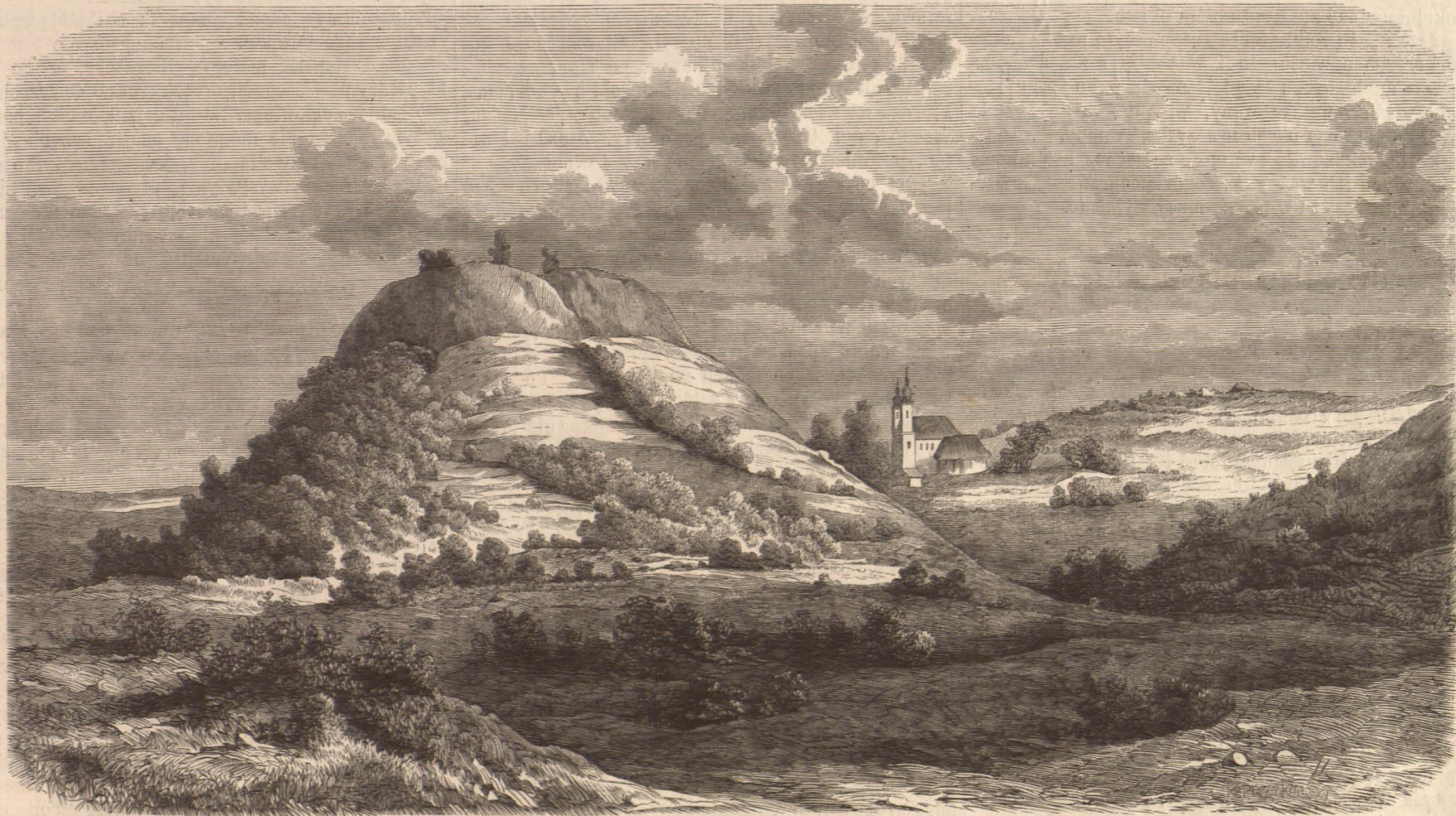
daleko, każda gromada wolała mieć na własny użytek pośrodku siebie miejsce obronne, służące i za świątynię, przybytek kapłanów, cmentarz gdzie popioły przodków i bohaterów spoczywały, senat, parlament, bazar i fortecę. Mógł być w tém wszystkiem z postępowaniem nawet system, mógł tam zawiazać się pewien z aró d



PLETY KAMIENNE NA KOŚCIELE FARNYM W NOWYM SĄCZU. (Rysował z natury Matejko).

góry nietylko były miejscem czynienia ofiar, ale i zgromadzania się ludu na narady i dla handlowych obrotów. Opatrywanie zaś miejsc takich w szanie, samo przez się już dowodzi, że służyły one do wojny odporniej. A zatem czy damy im nazwę pile, opole, zupy i t. p., znaczenie ich przez to się nie zmieni, bo za zmianą stron, idzie naturalnem następstwem zmiana nazw, ale rzecz pozostaje ta sama. Wedle naszego przekonania, możnaby wytłuma-

gminowładztwa; to też rozjaśnienie tej zagadki w tym kierunku, bez żadnych piśmiennych źródeł, jedynie z oglądania i porównywania samotnych wzgórz rozsianych na ogromnych przestrzeniach, jest zadaniem nielada. Przypuszczenia Zoryana Chodakowskiego, wywody Tyszkiewicza, Hilferdinga i wielu innych nie dają jeszcze zadowalających rezultatów. Tu trzeba jeszcze gromadzić materiały, trzeba dawać wizerunki i opisy tych gór z każdej miejsco-



GÓRA W URDOMINIE. (Rysował z natury Górnicki).

dochodził. Wszakże długo zdawało się Europejczykom, że busola, konduktory piorunowe, proch, papier są ich wyłącznymi pomysłami, gdy Chińczycy o całe wieki wyprzedzili ich w tych wynalazkach.

Otóż pominąwszy zamczyska i mogiły, jako u-determinowanego znaczenia, pytanie co by można mniemać o górach oszańcowanych na pewien ład,

czyć zwyczaj oszańcowania wzgórz z natury mało dostępnych w ten sposób. Wtedy gdy z braku narzędzi i umiejętności lud zamieszkujący obszerne pustynie znajdował potrzebę chwalenia bóstw, lub dopełniania obrzędów tłumnych, wybierał punkta przez naturę uposażone niezwykle. W tych punktach mógł być jednakże zaskoczonym przez wroga, więc trzeba było obwarować się przed napaścią okopem. A kie-

wości. Porównanie dopiero takich danych może z czasem doprowadzić do stanowczych wniosków.

W przekonaniu też o potrzebie gromadzenia danych tego rodzaju, podaliśmy ze stron tutejszych powyższy opis i wizerunki, jako surowy materiał, bez żadnej pretensyi do powagi naukowej. W dalszym ciągu, o ile nam możność dozwoli, postaramy się dostarczyć więcej wizerunków i notat, oraz prze-

mówić nieco o mogiłach i grobowcach zawierających urny lub szkielety, jakich w gubernii tutejszej nie ma.

* * *

Na zakończenie wszakże widziemy potrzebę wzbudzić następującą kwestyą, dotyczącą geografii miejsc historycznych, przez niedokładność nadzwyczaj zamiatwaną, a przez nowoczesnych dziejopisarzy litewskich traktowaną zbyt potocznie. Zresztą ta kwestya ma bezpośredni związek z przedmiotem powyższych naszych opisów, dotyczy ona bowiem miejscowości zwaną u kronikarzy Piluny albo Pileny, gdzie miała się odbyć bohaterska obrona wodza litewskiego Margiera, oraz przerażający zgon jego i jego wojowników. Wielu z badaczy dziejów litewskich, a za nimi i Syrokonla w swym poemacie Margier, zaniemieńskie Punie poczytują za scenę tego dramatu, chociaż latopisicy i z nimi Kraszewski w swojej Historii Litwy, a przed nim Teodor Narbutt opiewają wyraźnie, że w kraju zapuszczańskim, w części północnej gubernii tutejszej, a więc nie na prawym brzegu Niemna, w okolicy Iesistej, zapadłej, zwaną Trepen, w zamku Piluny czy Pileny Margier zginął.

Otóż w żadnej kronice, w żadnej geografii, ani na żadnej mapie nie znajdujemy miejscowości Trepen. Ale jest obszar rozległy w powiecie kalwaryjskim, pomiędzy wsią kościelną Bartniki a wsią Oszkobołe, zwany przez lud okoliczny *Trempe*, a przez Niemców z niemiecka *Trepen* (*). Przed laty ten obszar zwany Trempe, dziś niwa żyzna i starannie uprawna, był niedostępnym i zarosłym trzęsawiskiem, w którym jak pamięć starych ludzi sięga, gnieździły się liczne stada dzikich gęsi, żorawi i legły się drowce i siewki, a jak tradycje odwieczne w pamięci starych ludzi zachowane utrzymują, była tam niegdyś puszcza. Zatem nazwa miejscowości i charakter jej, zgadzają się z opisami kronikarzy. Teraz co do zamku Piluny, Pileny. Wszakże wspominaliśmy wyżej o wsi Pielany i o górach sypanych mających się tam znajdować. Wieś ta leży nie dalej jak o kilka wiorst od owych Tremp, a wspomniane wyżej horodyszcze Pielokalnie widać z tamtąd gołym okiem.

Jeżeli zaś kronikarskie Trepen było nazwą jakiegoś całego powiatu, to i w takim razie zachodzi pewna analogia z ową miejscowością, bo jest niedaleko wieś zwana Trempiny, więc nazwa ta sięgała widać dalej poza obręb uroczyska Trempe.

Za tą wskazówką być może że zechce kto z kompetentnych ten ważny szczegół geograficzny umiejtniej niż jest to w naszej mocy wyjaśnić.

Przegląd piśmienniczy.

(Dokończenie).

Natomiast system ten niejednę wyrządził szkodę prawdziwemu zrozumieniu rzeczy i tak autora jak i czytelników na fałszywe wprowadził drogi, zaciemniając nawet ustalone dotąd i całkiem słuszne pojęcia. Przy poezji epicznej najłatwiej było panu B. zastosować swoją historyczną metodę, albowiem przedział pomiędzy eposem bohaterskim, (tak oryginalnym starożytnym jak i nowożytnym naśladowanym), a eposem społecznym, czyli romansem, który stanowi właściwą epopeję czasów nowszych, jest w rzeczy samej tak wielki, że różnica oddzielających je od siebie wieków odpowiada ściśle różnicy ich wewnętrznej. Ale i tutaj nie obeszło się bez pewnego naciągnięcia istoty rzeczy do chronologicznego porządku. Nie możemy sobie np. wytłumaczyć, jakim sposobem ballada dostała się do eposu społecznego, który, jak autor powiada, powstaje w tych czasach gdzie „nie bogi i półbogi, nie idealni rycerze i potentaci, ale *powszedni* człowiek występujący na widownię dziejową, a zatem i na widownię poetycką“ (str. 110). Według przyjętej przez autora teorii i według natury tego utworu poetyckiego, należałoby raczej pomieścić balladę w eposie mitycznym, między klechdami i sagami, ale nigdy obok nowożytnego romansu, krępującego życie powszednie i stosunki konwencyonalne.

(*) Nazwy litewskie *Atrimpos*, bóstwa morza, stawów, sadzawek i jezior, i *Protrimpos* bóstwa rzek i wszystkich wód ciekących, znaczenie nazwy *Trempe*, polskim wyrazem *mozary* tłumaczyłoby dozwalały.

Przy poezji lirycznej sam autor wykazał słabość swego systemu, dlatego wyrazimy nasze zdanie własnymi jego słowami. „Zasada historycznego podziału, jaką przyjmujemy w teorii naszej, niezupełnie daje się zastosowywać do poezji lirycznej, bo uczucie, jakieśmy powiedzieli, na wszystkich stopniach rozwoju życia narodów jest właściwie jednakiem“ (str. 245). Ale najniekorzystniej wypadło zastosowanie tej zasady przy poezji dramatycznej. Według niej dramat został podzielony na dramat pierwotny, klasyczny i romantyczny; w drugim zaś z tych rodzajów, a mianowicie w klasycznym, znalazły się znów trzy kategorie: tragedia, komedia i dramat właściwy. Przyzwyczajeni do rozumienia wyrazu „klasyczny“ w jego historycznym znaczeniu, jako oznaczenie jednej z wielkich epok sztuki i literatury, nie spodziewaliśmy się znaleźć w kategorii dramatu oznaczonego tym mianem także i dramatu właściwego, tego utworu najnowszej literatury francuskiej. Lecz zdziwienie nasze wzrosło, kiedyśmy pod rubryką tragedii znaleźli Szekspira obok Eschylea i Sofokla. Szekspir więc postawiony został pod sztandarem tragedii, on, który tragedii, będącej płodem wyłącznie helleńskiej muzy, nigdy nie pisał. Został on policzony pomiędzy klasyków, jako wyobrazicielei pewnej epoki, dlatego że tak samo jak oni dramat starożytny, doprowadził do szczytu doskonałości dramaturgią nowożytną. Tym sposobem pomieszane zostały dwa znaczenia przywiązane do wyrazu klasyczny, co więcej, zatarta została zupełnie różnica między grecką tragedią, a nowożytnym szekspirowskim dramatem. Różnica ta jednak jest tak stanowczą, że nie można jej poświęcić dla mniej znaczącej analogii w rozwoju dziejowym sztuki dramatycznej. Nie należało tutaj zapominać, że dramatomu nowożytnemu, którego twórcą jest Szekspir, a do którego liczyć także potrzeba i to, co autor „dramatem właściwym“ nazywa, wypada koniecznie wyznaczyć odrębne stanowisko, jako najznakomitszemu płodowi poetycznego geniuszu u ludów chrześcijańskich. Takie stanowisko sam on sobie wyrobił, będąc, podobnie jak np. epopeja w świecie starożytnym, właściwym rodzajem *per excellentiam* nowożytniej poezji. Starożytność posiada swoje epos, jakiego pewnie po Homerze więcej nie ujrzymy; świat chrześcijański ma dramat, którego we właściwym znaczeniu tego pojęcia, ani Wschód, ani Grecja nie utworzyły. Rozdział zatem powinien być tutaj stanowczy i widoczny.

Tyle co do jednej strony pracy pana B. Nie jest naszym zamiarem wdawać się w szczegółowy rozbiór jego poetyki, albo też jej treść przedstawić czytelnikom. Wszelka recenzja i krytyka tylko dla tych jest pisana, którzy znają dzieło będące jej przedmiotem. Nie możemy się jednak powstrzymać od uczynienia jednej jeszcze uwagi, a mianowicie co do sposobu wykładu przyjętego w części teoretycznej, w poglądach estetycznych. Pod tym względem życzylibyśmy sobie, aby wykład ten miał formę więcej rozumowaną, więcej umiejtną niż to autor uczynił. Więcej ścisłości naukowej, a mniej polotu fantazyi i uczucia, przyczyniłoby, według naszego zdania, wartości tej książce. Z tego bowiem, że piszemy o sztuce lub poezji, nie wypada jeszcze, abyśmy sami w strunę poetyczną uderzali. Estetyka, pomimo tego że jej przedmiotem są sztuki wyzwolone, nie przestaje być umiejtnością filozoficzną i nauką ścisłą, opartą na pewnych prawach i dowodach. W ten sposób tylko może ona przynieść korzyść udającym się do niej po radę lub wykształcenie smaku. Poetyczne unoszenie się po powierzchni, jeżeli w ten sposób estetyk swoją pracę wykonywa, nie oświeci bynajmniej profana, ani nie natchnie artysty. Jeden i drugi w filozofii sztuki pragnie zdrowego pokarmu, pragnie światła dla swego rozumu; natchnienie bowiem idzie tylko z góry i nie da się zaczerpnąć z żadnej, choćby najpowszechniej napisanej estetyki. Prawda, że w literaturze naszej znakomici pisarze odzywali się nieraz w tym tonie fałszywym i przypadli tym nawet do smaku publiczności; ale powodzenie tego rodzaju nie jest jedyną skalą wartości i nie powinno być zachętą do naśladowania. Z nauką i prawdą nie można się pieścić i kokietować, ani też one nie dadzą się uwieść szumnymi dityrambami i dymem kadzideł. Im potrzeba istoty rzeczy.

Drugą część pracy pana B. stanowi historia poezji. Jestto myśl bezwzględnie bardzo szczę-

śliwa, objaśnianie teorii poezji za pomocą jej dziejów. Granice i sposób wykładu, jaki autor zakreślił sobie w tym dziele, również zasługuje na uznanie, a szczególnie wydało nam się pożytecznym obznajmianie czytelników z treścią znakomitszych płodów poetycznych. Przez to bowiem młodzież i ludzie którzy nie mają czasu ani sposobności oddawania się szczegółowo literaturze, nabywają przynajmniej pierwszego wyobrażenia o rzeczy, a zarazem zachęcają się do czytania książki, która obok nauki, podaje im także pewną zabawę dla umysłu. Z drugiej jednak strony nie możemy zbyt przeceniać wartości tej historii poezji. Jestto zwyczajna kompilacja z dzieł obszerniejszych podobnego rodzaju.

W samym już czytaniu daje się czuć to nielegalne jej pochodzenie, a ogólne wrażenie jakie się wtedy odbiera, zmusza nas mimowoli do przejrzania jednej lub drugiej literatury i wyszukania o ile autor z nich korzystał. Nie wiemy którymi więcej dziełami p. B. się posługiwał, ale napotkaliśmy w jego książce ustępy, dosłownie wyjęte z historii literatury powszechnej Scherra i Lewestama. Tak np. artykuł o Heinem wypisany jest ze Scherra, sąd o Homerze oparty również na tym autorze; treść znów Rolanda, Iliady, Odysei i t. p., jest wiernym powtórzeniem z Lewestama. Nie wątpimy, jak wspomnieliśmy, że znaczna jeszcze część historii poezji pana B. nie jest jego oryginalną pracą; znajdujemy bowiem w niej wiele takich twierdzeń, na jakie nie każdy się ośmieli i które może tylko wyrzec uznana powaga. Takiem jest owo zdanie o Molierze: „Molier był głębokim badaczem społeczeństwa, biegłym satyrykiem, ale nie poetą“ (str. 362). Albo też lekceważący sąd o Dumasi (str. 164), na którego zobojętnienie mogliśmy przypomnieć zdanie Z. Krasieńskiego o vice-hrabim de Bragellone i Heinego o talencie powieściarskim francuskiego romansopisarza. Pierwszy z nich uznał wspomniany romans epopeją nowożytną, równającą się Homerowi, a drugi nazwał Dumasa najzabawniejszym po Szeherezadzie opowiadaczem.

Nie robimy jednak panu B. obciążającego zarzutu z tego powodu, że praca jego nie jest oryginalną. Napisać historią literatury, a do tego literatury powszechnej, jest tak trudno, że przechodzi siły jednego człowieka. Nawet najznakomitsi pisarze w tym rodzaju nie mogą się obejść bez obcej pomocy i wystarczy dla nich, jeżeli same tylko arcydzieła literackie wystudują, przemyślą nad nimi, treść ich przetrwają i samoistny sąd o nich sobie wyrobią. Tę bardziej nie możemy podobnej pracy i znajomości rzeczy wymagać od książki z mniejszymi daleko pretensjami, od książki podręcznej, elementarnej.

Uderzyły jednak naszą uwagę niektóre słabsze strony pod względem obrobienia obcych materiałów. Autor w ogóle zamało sobie przyswoił treść zkaładną pożyczoną i wybór robionych wyjątków niezupełnie zastosował do zakresu i celu swjej pracy. Zwykle piszący jakąbądź historią, chociaż spoglądają na przedmioty ze stron najrozmaitszych, zapatrują się przeciw na nie z jednego stanowiska, z jednej, że tak powiem, wysokości. Otóż właśnie ten punkt zapętrwania się u autora nieraz się zmienia, a z tego powodu brak jego książki jednoci, poglądu obejmującego całość, ścisłego zachowania swych zdań i sądów w pewnych przez rodzaj pracy oznaczonych granicach. Tak np. historia dramatu greckiego wyłożona jest zrozumiale i przystępnie nawet dla czytelników nieobznajmionych z przedmiotem, których autor, podejmując swą pracę, najwięcej miał na myśli. Nie można jednak tego powiedzieć o rozbiórce dramatów Szekspira. Tutaj podał autor same niejako rezultaty krytyki, zbyt ogólnikowe, a nieraz abstrakcyjne, aby należycie oświeciły umysł nieobeznany dokładnie z dziełami poety. W podobny sposób osądził autor i Schillera, przy którym również uwagi krytyczne zbyt są szczupłe w porównaniu z tém, co autor gdzieindziej o innych dramatykach powiedział, np. o Molierze, Kalderonie, Szekspirze i t. p. Taka niepomierność treści daje się i w innych jeszcze miejscach spostrzegać. Działalność np. Schillera i Goethego, jako poetów lirycznych, zbyt słabo jest naszkicowana, w stosunku do obszernego i wyczerpującego rzecz rozbiór o Heinem.

Ze wszystkich literatur, o jakich jest mowa w tej książce, najmniej uwzględnił autor poezję polską,

Stało się to z umysłu, gdyż, jak czytamy w przedmowie, „dokładniejszy obraz losów poezji polskiej uczniowie mieć mogą przy wykładzie historii literatury polskiej.“ W tém jednakże co o niéj jest powiedziane, napotykamy znowu błąd, który nie jest bynajmniej nowością, a więc nie uważamy go za winę pana B. Zwykle historycy naszej literatury, kiedy im przyjdzie mówić o początku dramatu w Polsce, podają jako pierwszy jego zabytek dyalog, jaki miało wyprawiać po śmierci Kaźmirza Sprawiedliwego, i powołują się w téj mierze na Kadłubka, gdzie się ten pomnik ma znajdować. Ktokolwiek pierwszy wyciągnął podobny wniosek z odpowiednich słów Kadłubka (księga IV kroniki), ten zaiste niebardzo był szczęśliwy w pomysłach. Nie przeszkodziło to jednakże, aby odtąd jedna po drugiej historye literatury nie powtarzały tego błędu, chociaż dosyć wziąć w rękę Kadłubka, aby się przekonać, że on o żadnym dyalogu nie myślał, a to co za taki dyalog uważano, jest tylko prostym wynurzeniem żalu kronikarza po śmierci monarchy, trenami, w których czyni zadość swojej poetycznej weni, jak mu się to nieraz jeszcze w ciągu kroniki zdarza. Przeciw temu błędnemu mniemaniu powstał jeszcze w 1853 r. (Dz. Lit. Nr 38 i następane) K. Estrejcher, we wstępie do swéj obszernéj rozprawy p. t. Rys ogólny piśmiennictwa dramatycznego polskiego od r. 1750, gdzie wykazał, że ów dyalog Kadłubkowski powstał tylko w bujnej wyobraźni bibliografów. W podobny sposób zaprzeczył istnieniu dramatu o Ludgardzie za czasów Przemysława, którego z równą przesadą domyślano się ze słów Długosza i uznał list Innocentego III (który był wystosowany do całego w ogóle chrześcijaństwa, a naganiał wystawianie dyalogów po kościołach) za niedostateczny dowód rozpowszechnienia podobnych widowisk w Polsce. W téj myśli odezwał się J. I. Kraszewski w rozprawie „O sztuce dramatycznej w Polsce“ (1860 r.) Głosy te jednakowoż nie zostały wysłuchane, kiedy tenże sam błąd jeszcze w najświetniejszej publikacji literackiej się powtarza. Korzystamy zatem ze sposobności, jaką nam nastęrczyła w téj mierze książka p. B., aby tę sprawę odświeżyć i badaczom literatury przypomnieć, że początek naszego dramatu należy z gruntu przebudować.

Mówiąc o pracy pana B., przykładaliśmy do niéj skalę naukową i literacką, sądziliśmy ją podług zasad i stanu obecnej nauki i literatury. Spodziewamy się, że nam autor szczerze wypowiedzianego zdania za złe nie weźmie i nie przygani sposobu, w jaki na jego książkę się zapatrywaliśmy. Jeżeli tu i owdzie niezupełnie z nim się zgadzamy, jeżeli to lub ówo uważamy za słabsze strony, od których żadne dzieło ludzkie nie jest wolne, nie myślimy przeto uwłaczać jego zasłudze w wydaniu książki przystępnej dla młodzieży i wszelkich adeptów literatury, ani też lekceważyć pracy podjętej z miłości przedmiotu i dorastającego pokolenia. Na swoim miejscu zwróciliśmy niejednokrotnie uwagę na zalety téj teorii poezji, usterki zaś dadzą się poprawić w sposób jaki sam autor podaje. Książka ta bowiem, w ręku światłego nauczyciela, może stać się bardzo przydatną, gdyż dostarcza wykładającemu wiele treści i gotowego już do wykładu materiału, którego bez podobnej pomocy po rozmaitych dziełach szukaćby musiał.

B.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Paryż, w styczniu 1867 r.

(Dokończenie).

Z tém wszystkiém nie jest, w Paryżu niemożliwą i zabawa i nauka, lecz wzięta pół-zartem, pół-seryo.

Ale dość o tém. Zaprosiłem czytelnika na przechadzkę, a uraczyłem go pewnym rodzajem nauki moralnej, setnie nudnej, zwłaszcza jeżeli on układa sobie w myśli projekcik urządzenia interesów swoich w taki sposób, ażeby w jaknajkrótszym czasie mógł się wymknąć do nadsekwanijskiej stolicy. Niechże sobie wyobrazi, że powyższa gawędka odbyła się w Paryżu, żeśmy szli sobie jeden obok drugiego ulicą np. Rivoli. Zatrzymaliśmy się na którejś z ulic ją przecinających, ująłem go za guzik od paltota i palnąłem mu kazanie o zabawach i naukach. W ten sposób kazanie wydałoby się zabawniejszém, a to dlatego, że czytelnik, odurzony gwarem i olśniony błyskotli-

wością, posadziłby mnie o zrzedliwość, śmiesznie wyglądającą w odmęcie, któremu na czole świeci napis: radość. Z radością zrzedliwość nie licuje. Słuchaczby mi nie uwierzył, odpowiedziałby mi słowami jednego z moich dobrych znajomych:

— Przecież ten Paryż, to miłe miasteczko, tylko trochę za kosztowne... Oto tydzień tu bawię, nie prawie jeszcze nie widziałem, ani razu nie zabawiłem się jak należy, nigdzie nie byłem, a wydałem już tysiąc franków...

I zamyślił się i zasmucił.

— Tysiąc franków... hej!.. to kawałek grosza...

Nie przerywałem mu refleksyi, po której dobrych spodziewałem się skutków, przypuszczając że ten smutek wyda taki owoc, iż mój znajomy zamknie pugilares, postara się widzieć jaknajwięcej, zabawi jaknajkrócej i zaspokoiwszy jaknajtaniej ciekawość, drapnie do domu. Ale jakżem się zawiódł! Zamyślenie i smutek były rachunkiem. Mój znajomy w cichości obliczył, ile na tysiąc franków idzie rubli. Splunął i zawołał:

— Ej, co tam!.. Przecież to nie więcej jak dwieście pięćdziesiąt rubli!.. W Berdyczowie na jarmarku, a nawet bez jarmarku, w jednym dniu dwieście pięćdziesiąt rubli wydaję... A co Paryż, to nie Berdyczów.

Smutek znikł. Morały któremi go karmiłem, na nic się nie przydały.

Przekonany jestem, że i moje kazanie, które powyżej wypisałem, nie na wiele się przyda. Z wypisania jego tę tylko mam korzyść, żem ulżył sumieniu i zrzuciłem z duszy ciężar przez nabycie tego przeświadczenia, iż nie będę zaliczał się do tych, co grają rolę wabików, rzucających czytającej publiczności przynętę i wołających na nią zdaleka:

— Do Paryża! do Paryża!... Co tu cudów!... co to za świat ciekawy a uroczy!...

Ja wołam:

— Siedźcie w domu. Macie tam tyle powinności obywatelskich do spełnienia, o których Paryż najmniejszego nie da wam wyobrażenia... A jeżeli chorujecie na świerzbicznąkę tracenia pieniędzy, to już lepiej traćcie je u siebie.

Ot, i moja myśl nowa, owa myśl, którą na czele korespondencyi zapowiedziałem, z którą się tailem jak ze skarbem, której wyjawienia tak się lękałem; myśl owa niechcący wymknęła mi się z pod pióra. Kiedy tak, więc dobrze: niechże idzie w świat. Zastanów się do niéj wyrazy, których użył pewien autor na czele pewnej rozprawy. Zapomniałem i nazwisko autora i tytuł i treść rozprawy, tylko dewiza, jako wspomnienie dawnych czasów, pozostała mi w pamięci: „Idy dytia moje w świat, szczęście tobie Boże.“ Niechże idzie w świat nowa myśl, czyli raczej spozstrzeżenie uczynione przezemnie, gdy się włócząc po Paryżu, gapił śród noworocznych budek.

— Paryż a Berdyczów, to jedno i to samo...

— Paradoks!... krzyknął zgodnym chórem wszyscy czytelnicy, tacy nawet, którym trafiło do przekonania zdanie moje o zabawie i naukach i którym z tego powodu ani się śni o podróży do stolicy Francji.

— Paradoks? przepraszam... mam dowody, pomiędzy którymi pierwsze miejsce należy się... błotu.

— Co za błoto w Berdyczowie!...

Ten okrzyk, ileż on razy onego czasu obił się mi o uszy! ileż razy sam go wydawałem!... Wszyscy jarmarkowicze, różniący się pospolicie w zdaniach co do wrażeń jakie na nich jarmark wywarł, zgadzają się na jedno we względzie błota.

— Co za błoto w Paryżu!...

Wszyscy podróżni, wszyscy nawet Paryżanie, różniący się do nieskończoności w zdaniach co do wrażeń jakie na nich Paryż wywiera, zgadzają się na jedno we względzie błota.

Jest to jeden rys podobieństwa, ale podobieństwa charakterystycznego, dowodzącego blizkiego powinowactwa, jakie zachodzi pomiędzy Paryżem a Berdyczewem, powinowactwa objawiającego się zamiłowaniem w jednym i tym samym przedmiocie. Bo Paryż tylko przez zamiłowanie mógł przyjąć do błota, stanowiącego sławę Berdyczowa. Czy pozazdrościł mu téj sławy? — Nie. Kwestya ta w ten sposób postawiona, byłaby wprost do przeciwnego doprowadziła rezultatu. Paryż nawet nic o Berdyczowie i jego sławie nie wiedział w owych czasach, kiedy to posiadał dawne bruki, prędko schnące i nie ścierające się w pył, który zmieszany z wilgocią, przemienia się w ciasto grzaskie i miękkie, bryzg-

jące z pod kół i lepiące się do ludzkiej odzieży. Nie wiedział ani słyszał o Berdyczowie i jego sławie. Na brukach pryncypalnych jego ulic było sucho i czysto. Dészczowa woda ściekała bokami, a kurz się nie wytwarzał. W owych czasach Paryżanie rozprawiali (jak i dziś) o postępie i obruku i doszli do tego przeświadczenia, że bruk nie ścierający się w pył i ze zmieszania się z wilgocią nie przemieniający się w ciasto, jest niewygodnym. Tego przeświadczenia nie wypowiedzieli oni wprawdzie wręcz a wyraźnie. Lecz nacóż mieli wypowiadać, kiedy je wykonali, wypowiedzieli czynem! Zerwali dawne bruki i zastąpili je nasypem, czyli, wszedłszy pod tym względem na drogę postępu, doszli nią tam gdzie Berdyczów.

Cóż z tego za wynik?

Droga postępu poprowadziła Paryż wstecz, cofnęła go, i to pod względem stanowiącym jeden z najgłówniejszych rysów charakterystyki miast. Jest to postęp fałszywy, jest to postępowy błąd. Błędu tego jednakże byłby Paryż niepopoził, gdyby w jego sercu nie przebywało zamiłowanie do błota, zamiłowanie, o którym sam nie wiedział i dlatego właśnie że nie wiedział, tém wyraźniej i mocniej upodobał go do Berdyczowa, który toż samo zamiłowanie chowa w sercu od wieków i od wieków pozostaje mu wiernym. Paryż się był sprzeniewierzył przed laty; lecz dziś to sprzeniewierzenie jest już tylko wspomnieniem, przechowującym się jeszcze na pobocznych ulicach. Ulice główne, bulwary, są już berdyczowskie. Wytwarzają błoto, nie tak wprawdzie jak w Berdyczowie głębokie, ale nie w gorszym gatunku.

Przyznać się muszę, iż do uczynienia tego spozstrzeżenia, którego oryginalność sobie przyznaję, wielce przyczyniły się noworoczne budki. Stały się one niby przyzmą, przez którą na Paryż spojrziałem. Spojrzałem, i zamiast Paryża, ujrzałem... Berdyczów. Budki takie same, jota w jota, z takich samych materiałów i w taki sam zbudowane sposób, pojawiają się w Berdyczowie w czasach jarmarcznej uroczystości i potem także znikają. W pretekście zachodzi różnica, ale w istocie niema żadnej. Jest to rzecz ta sama na dwa rozłożona warstwy, jest to podobieństwo zupełne. Te sosnowe i lipowe deski, podziurawione ćwiekami i szrubami, co jest dowodem, do jak różnego służyły użytku, te deski wymowniej do mnie przemówiły, niż wszelkie najsubtelniejsze dowodzenia. W nich ujrzałem pierwociny handlu i przemysłu i zaranie wystawy. Przenośna budka zmieniła się z czasem w sklepik, sklepik w sklep; lecz w gruncie rzeczy magazyn pyszny, oszklony, wyłożony i wykadzony jest nie czém innym, tylko wydoskonaloną budką, którą przepokupię wraz z towarami zabrać może na plecy i przenieść gdzie mu się spodoba i która tak w Paryżu jak w Berdyczowie pojawia się regularnie w jednej i téjże samej roku porze, przed progiem magazynu, jakby na to, ażeby pysze rogów przytrzcęć.

Budka i błoto, błoto i budka, Paryż i Berdyczów, Berdyczów i Paryż: od tych czterech wyrazów nie mogłem się obronić w dzień Nowego roku. Zasłoniły one przedemną gwiazdkę, w wystawie której współubiegały się pomiędzy sobą magazyn i budka, a współubiegały się w ten sposób, iż na pierwszym wyraz *étrennes* błyszczał w dzień kryształowemi, w nocy ognistemi głoskami; na drugiej zaś napisany był poprostu na papierze naklejonym na deszczułce.

Powiecie mi: trzeba się było rozpatrzyć, co się ukrywało pod firmą kryształową, a co pod papierową. Rozpatrywałem się i dostrzegłem najważniejszej różnicy — w wystawie. Sposób pokazania inny był tu, inny tam; niektóre przytém przedmioty w magazynach były droższymi, ale jakoś ich, w stosunku do cen, najmniejszej nie ulegała różnicy. Przepych magazynu nie wpływał na to, ażeby miały być pod względem gatunku doskonalszemi; ozdoba i bogata suknia nie czyniła ich lepszemi. Rozpatrywałem, porównywałem gatunki; stawałem w zamysleniu przed kupami i stosami przenajrozmaitszych przedmiotów na sprzedaż wystawionych; przyglądałem się kupcom i przekupniom; porównywałem jednych z drugimi i snułem pasmo różnych filozoficznych myśli, które się wywijają z jednéj, że:

— Paryż a Berdyczów, to jedno i to samo.

Ogólna konkluzya, do której wszystkie ze wszyst-

kich punktów wychodnich zbiegały się myśli, była następująca:

— Kto ma pieniądze do stracenia, niech je raczej traci w domu.

Banki zaliczkowe dla rzemieślników.

(Dokończenie)

Zarząd właściwy wybierany jest na lat 3 do 10

wstępujący członek złożyć winien, a który wynosi w Niemczech talar, u nas zaś mógłby wynosić rubla.

Największa atoli część zysków ogólnych banku z procentów powstałych, idzie na opłatę procentów



ZAMCZYSKO NAD JEZIOREM HAŃCZA. (Rysował z natury Górnicki).

W chwili gdy chciałem pieczętować niniejszy list, dowiedziałem się o śmierci malarza Ingres i filozofa Cousin. Pomarli w jednym dniu 14 stycznia. Pokój ich popiołom!...

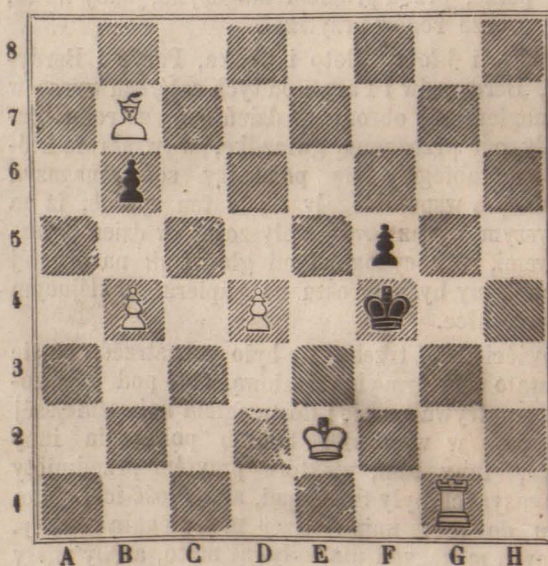
Szachy.

ZADANIE CCCXLI.

(S. Winawer w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 340.

Białe.

Czarne.

- 1) D1—H1 1) B5—E8 (najlepiej).
- 2) G6—B1 2) E8—B5.
- 3) B1—G1† i mat.

Gdyby czarne w pierwszym posunięciu pojechały inaczej, mat nastąpiłby już w drugim posunięciu, królową na D6 lub C6 albo koniem, na D7.

z grona członków, przez samych członków, i składa się z dyrektora, kasyera i kontrolera. Wszyscy oni są płatni, ale nie ryczałtowo, tylko z zysku bankowego. Jeżeli np. procenta od zaliczek wynoszą 8%, to 2% idzie na administrację i opłatę zarządu. Najwięcej bierze kasyer, jako najbardziej zatrudniony, bo 2/3%, kontroler 1/3%, a reszta idzie na dyrektora i koszty administracji. Zarząd udziela zaliczenia, odbiera procenta, przyjmuje nowowstępujących i wypożycza na rzecz banku od kapitalistów pieniądze. Wszakże aby czynności zarządu, szczególnie co do ostatniego punktu, były ważne, wymagają podpisu dwóch członków stowarzyszenia.

Rada Nadzorcza, z 9 lub 12 członków złożona, jest także wybierana przez członków i czuwa nad tem, aby zarząd niewłaściwem postępowaniem nie naraził banku na straty. Nakoniec

Zebrań ogólnych raz lub dwa razy do roku zwołuje się, celem wyboru rady nadzorczej i zarządu, rozpoznania rozmaitych skarg i wątpliwości, zmian paragrafów statutu, sprawdzenia rachunków i rozporządzania zyskiem.

Druga część zysku bankowego z procentu, idzie na opłatę dywidendy członkom od udziałów ich znajdujących się w kasie bankowej; od summ bowiem złożonych, członkowie pobierają nie procent ale dywidendę, to jest część taką, jaka po zaspokojeniu wszelkich wydatków pozostanie. Dywidenda ta raz może być większą, drugi raz mniejszą, a to w miarę obrotu kapitału, stosownie do zysków i strat w czynnościach bankowych.

Trzecia część zysku bankowego idzie na zwiększenie funduszu rezerwowego. Co to jest fundusz rezerwy? Fundusz rezerwy przeznaczony jest na zaspokojenie wszystkich potrzeb terminowych, które atoli, z powodu szczególnych okoliczności, ze zwykłych źródeł opędzonymi być nie mogą. Szczególniej służy on do wypłat należnych tym, którzy wypożyczali swe kapitały bankowi na procent i na termin oznaczony. Fundusz rezerwy pochodzi nie tylko z części ogólnego zysku bankowego, ale także i z wpisu, jaki każdy nowo-

od summ wypożyczonych bankowi przez obcych kapitalistów. Jakto, powiecie, bankowi inni pożyczają? Bankowi składającemu się z niezamożnych rzemieślników, powierzają inni swe kapitały na procent? A tak, moi panowie, nieinaczej. Stowarzyszenie jest potęgą, która wlewa ufność w najbardziej nieufnych. Ci, którzyby żadnemu z tych członków banku, wziętemu osobno, nie pożyczali 100 talarów, nawet na duży procent, — teraz im wszystkim połączonym pożyczają 1000 talarów na bardzo umiarkowane odsetki. Czém się to dzieje, i czy to być

(Ob. dodatek).

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 384.

Na dzieci spadać nie może wina rodziców.

(Dodatek).

może? zapytacie. Dzieje się to solidarnością wszystkich członków za czynności banku, a że być może, dowód w tym, że 455 bankom zaliczkowym niemieckim, mającym swego funduszu w ogóle tal. 3,252,757, wypożyczyli obcy w ciągu roku talarów 12, 756,582.

Wejrzymy atoli trochę lepiej w powód do takiej wiary w banki zaliczkowe. Powodem tym jest prawo, że każdy członek banku za długi zaciągnięte przez towarzystwo, czyli przez zarząd banku, odpowiada całym majątkiem. Napozór zdaje się to być srogo i niesprawiedliwie, lecz w gruncie rzeczy jest słusznie. Bank pożyczka od obcych pieniądze na termin dłuższe niżeli półroczne i na procent mniejszy niżeli pobiera sam od biorących zaliczki. Jeżeli więc biorący zaliczkę lub dający porękę za biorącymi zapłacą na termin, natenczas i bank ma pieniądze do zwrotu na termin obcym kapitalistom, i członkowie jego żadnej nie ponoszą straty. Jeżeli zaś biorący zaliczkę na termin takowej nie zwróci, to któż tu winien? Nie zarząd, ufający poręczycielom, ale sami poręczyciele, którzy bezświadomie lub ze złą wolą ręczyli za osobą niepunktualną. Nic więc dziwnego, że za lekceważenie swego poręczycielstwa zostaną ukarani stratą na swym majątku. Niech dają poręczenie za tymi tylko, którzy na to zasługują, a nigdy bank nie straci i ogół członków szkodować nie będzie. Rygor ten właśnie jest kamieniem węgielnym istnienia i rozwoju banków zaliczkowych, bo każdy, lękając się o swój własny majątek, za niezasługującym na porękę ręczyć nie będzie, a tak ani siebie, ani banku nie narazi na straty. To więc co na pozór wydawać się może szkodliwym nie do zwalczania, jest właśnie warunkiem bytu, hamulcem niedozwalającym rozbić się bankowi, tamującemu lekceważenie danego słowa i danej poręki. Zresztą przezorność zakładających banki zaliczkowe obmyśliła fundusz rezerwy, który służyć ma do spłacenia długów obcym kapitalistom, aby uniknąć zawieszenia wypłat. Spłaciwszy dług z funduszu rezerwowego, bank krokami egzekucyjnymi zmusza poręczycieli i biorącego pożyczkę do zwrotu zaliczki i dochodzi do równowagi, nie skompromitowawszy się w obec obcych.

Jeszcze o jednym warunku banków zaliczkowych słów kilka. Każdy członek banku ma prawo wystąpić ze stowarzyszenia i odebrać swój udział, byle tę swoją część wypowiedział przynajmniej na sześć miesięcy przed końcem roku obrachunkowego. Odbiera w takim razie cały swój udział i należną dywidendę, wyjąwszy tego, co złożonym jest na fundusz rezerwy. To pozostaje nietkniętym.

Oto całe urządzenie tej maszyny prostej, lecz wielkiej swemi następstwami. A jakże łatwo takie banki zawiązać mogą u nas zgromadzenia rzemieślnicze, tak liczne a tak potrzebujące kapitału! Weźmy tylko Warszawę, ileby ona utworzyć ich mogła!

Zgromadzenia większe sameby założyły oddzielne banki; zgromadzenia mniej liczne, łączyłyby się mogły razem.

Takich banków mogłoby u nas funkcjonować 19 lub 20. Dajmy na to że w Warszawie w ogóle majstrów, czeladzi i robotników fabrycznych jest tylko 12,000; przypuścimy dalej że z tych dwunastu tysięcy połowa nie zechce do banków owych należeć; to i tak jeśli druga połowa, czyli 6,000 osób, złoży średnio tylko po 400 złp. od każdego członka na udział (w Niemczech średnio udział wynosi 500 złp.), summa ztąd otrzymana wyniesie złp. 2,400,000, czyli rs. 360,000. Przypuścimy teraz że tym bankom obcy kapitaliści na procent 5% pożyczają tylko trzy razy tyle (w Niemczech pożyczki obcych wynoszą cztery razy tyle, co ogół udziałów członków), to te 20 banków będą mogły rocznie obracać kapitałem wynoszącym złp. 9,600,000 czyli rs. 1,440,000. a więc wypadnie na jeden bank średnio złp. 480,000, czyli rs. 72,000. Teraz wystawmy sobie ile to dobrego zrobić może te półmilion dawane na pożyczki potrzebującym stolarzom, krawcom, szewcom i wielu innym.

I nie myślcie że to chimery, że to niewykonalne. Niemcy to zrobili, Francuzi to zrobili, pobratymcy nasi Czechowie zrobili, — dla czegożby polscy rzemieślnicy zrobić tego nie mogli?

Niemcy szybko poznali się na dobrodziejstwie banków zaliczkowych. W r. 1853 założony został do ich pierwszy bank w Delitz; — w r. 1859 było ich już 183, a w 1865 roku 961. W r. 1853 by-

ło 8 członków banku; w r. 1859 w 80 bankach było 80,676 członków; w sześć lat później w 498 bankach 169,545 członków, a że liczba istniejących banków wynosi blisko dwa razy więcej, snadnie liczyć można że w r. 1865 uczestników banków zaliczkowych było przeszło 300,000!! Jakaż ogromna cyfra ludzi idących do dobrobytu!

A jakimi oni pieniędzmi obracali?

W roku	Fundusz własny czyli udział członków wynosił talarów.	Fundusz rezerwy czyli talarów.	Udzielono zaliczek członkom banków w ciągu roku talarów.	Obcy kapitaliści wypożyczyli bankom talarów.
1853	230	129	8400	
1859	246091	30845	4131436	1114145
1864	2959296	293461	48147495	12756582
1865	4851000	442000	67569000	niewiadomo

I patrzcie, co to za kolosalne summy powstały z małych summek; co to za kolosalne summy i u nas powstać mogą, byleśmy tylko zechcieli! Majstrowie, starsi zgromadzenia, bardzo łatwo takie banki zakładać mogą; niech tylko dadzą przykład, niech uzyskają pozwolenie Władzy, niech na początek choć we dwudziestu rozpoczną, jak rozpoczęli szewcy w Delitz. Najtrudniej zacząć w Imię Boże, a pójdzie wszystko dobrze; byle chęć, byle wytrwałość, byle dobra wola wywiązała nasze czynności, z drobnych summek powstaną duże kapitały, nędza się usunie, rzemiosła zakwitną i dobrobyt do nas zawita.

Na zakończenie jeszcze słów kilka, wyjętych ze Studyów pana Trepki:

„Cała wyższość moralna i materyalna banków zaliczki bije w oczy. Łatwo pojąć ich materyalną przewagę, gdy się pomyśli, iż dając pieniądze do ręki potrzebującym, daje się im samym możność zaspokojenia swych potrzeb. Są zatem dogodniejsze niż asekuracyjne kassy, bo dają pieniądze bez zastawu; kompletniejsze niż lombardy, bo stanowią kasę oszczędności, która nie ulega takim jak rządowa formalnościom i lepiej się procentuje.

„Cóż powiedzieć dopiero o moralnej ich przewadze! Robotnicy pomagają sobie sami, bez wyciągania ręki, bez płaszczenia się przed bogatszymi, bez tych tysiącznych upokorzeń, jakie nawet najszlachetniej podana jałmużna wywołać musi; jedynie własną pracą nowy los sobie gotują, w inną fazę życia przechodzą.“

Być może iż w określeniu organizacji banków zaliczkowych opuściliśmy jakie szczegóły; być może iż niektóre z podanych przepisów wydawać się mogą niepotrzebnymi lub wymagającymi zmiany; być może iż przy czytaniu niniejszego artykułu różne zarzuty i wątpliwości się nasuną. Oświadczamy się więc z najszczerszą chęcią odpowiedzi bądź prywatnie, bądź za pośrednictwem Tygodnika na wszelkie wątpliwości w tym przedmiocie, i spodziewamy się iż redakcja zechce także wszelkie zapytania prywatne łaskawie nam komunikować, dla wyjaśnienia punktów przedmiotem sporów i zarzutów będących.

Aleksander Małowiecki.

Trochę o poezji i o sądach o niej wydawanych.

Od pewnego czasu weszło u nas w modę zaliczyć się na obecny stan poezji naszej.

Jest w tym trochę słuszności, ale poezja, jak kobieta, przyjmuje wyrzuty i wymówki od tych tylko co ją kochają, prawdziwie, dla tych zaś co ją ani kochają ani rozumieją, pozostaje ona niema i obojętną, zaliczyć się więc na nią nie mają prawa.

Jakie zaś pod tym względem jest usposobienie nasze, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że w czasach daleko pomyślniejszych materyalnie aniżeli obecne, nakład dzieł Mickiewicza ani w połowie nawet się nie rozszedł, a wydawca który go przedsięwziął narażony został na straty niepowetowane.

Jeżeli jednak uzalamy się na brak poetów, to nie możemy powiedzieć żeby nam brakło takich, którzy szeroko mówią o poezji, a nawet i piszą...

Naturalnie jedni są echem drugich, prawiąc wiele o tym czem poezja być powinna, o szerokich jej

celach i przeznaczeniu. Ludzie którzy piętnastu wierszy nie przeczytali bez zaśniecia, zarzucają Deotymie cczą tylko frazeologią, a innym brak ducha, wydają sądy o złej lub dobrej formie, o braku talentu albo wygaśnięciu go, sądy zupełnie podobne do tych, jakie się słyszą dają na wystawie sztuk pięknych, kiedy publiczność niedzielna przychodzi ją oceniać i wyrokować o niej.

Dorywcze krytyki, mimochodem, jednym zamachem pióra, stawiają na właściwym miejscu wszystkie mierności, pnące się na Parnas niedościgły.

Słowem upośledzeni ślepotą z natury, zaprzeczają wszystkim innym możliwości widzenia, żeby to ich samych nie upokarzało.

Odpowiadać na te wszystkie niczem nie uzasadnione i nie opierające się na żadnym krytycznym poglądzie zarzuty, znaczyłoby toczyć bój z wiatrakami. Walka tam tylko jest możebną, gdzie z obu stron panuje dokładna świadomość rzeczy o którą bój się toczy, albo przynajmniej dobra wiara.

W tych dniach jednak głos recenzenta cieszącego się zasłużonym uznaniem u czytającej publiczności, poparł wszystkie te zdania dorywcze powagą swoją. Chcemy tu mówić o rozbiórce komedyi *Syn Gibojera*, drukowaną przez znanego recenzenta Gazety Warszawskiej, w Nrze 26 téjże gazety.

W artykule tym czytamy następujący ustęp:

„Czy nie zadaleko jednak zabiegliśmy z powodu p. Augier? Jest to autor pełen bardzo miłego, wykwiłtowego i starannie wybierającego swe zadania talentu; od lat kilku jest jednym z czterdziestu francuzkich nieśmiertelnych, ale czy jest poetą? We Francji tak go nazywają. W istocie, napisał kilka rymowanych, bardzo składowych komedyj, mnóstwo zaś innych prozą. Według zaś wszelkiej poetyki, nawet najświeższej, komedia liczy się do poezji. U nas jednak pod tym względem jest pewne pomieszanie wyobrażeń. Od poezji czegoś więcej żądamy jak zręczności, dowcipu i rymu. Zepsuci jesteśmy przez trójcę mistrzów wielkich i trochę mniej wielkich, ale zawsze nad ziemią szybujących pisarzy. Dla nas poeta musi mieć orle lub sokołe przynajmniej skrzydła, żeby z bardzo wysoka przynieść nam chociaż jedną prawdę wiekiustą, odzianą w formę równie wiekiustej piękności. Im wyżej wzlata, tém większy, im czystsze prawdy niesie, tém świętszy, im w promienistszej szacie, tém ulubieńszy. Przyznać należy że nas od takich wymagań z wielką starannością usiłują odzwyczaić dzisiejsi warszawscy rymotwórcy, dotąd jednak to się im nie udało. *Nikt jeszcze ich rymowanych wypracowań poezją nazwać się nie ośmielił, chyba w kalendarzowej intytulacji.* Może więc u nas pan Augier nie byłby tytułowany poetą, lecz tylko pisarzem znakomitym; jednakże według wszelkich przepisów klasycznych i według zwyczaju francuzkiego słusznie tytuł poety nosi.“

Bardzo to stanowcze zdanie, w bardzo krótkich wypowiedzianych słowach. Wyroku tak bezwzględniego potępienia nigdy się nie wymierza bez usprawiedliwiających motywów, chociażby nawet kompetentność sędziego wyższą była nad wszelki zarzut. Tém gorzej jeżeli potępienie z poważnego płynie źródła, usprawiedliwia bowiem w takim razie i popiera wspomniane przez nas powyżej dorywcze sądy, które i tak zachęty nie potrzebują.

Powiedział Goethe, że kto chce poetę zrozumieć, ten do jego kraju podróż odbyć musi. Ale do jakichże badań nad tą zaczarowaną krainą obowiązany jest ten, kto chce sąd o poecie wydawać? Zwykle krytycy, oprócz rzadkich wyjątków, nie lubią trudzić się w ten sposób, i na pierwszą lepszą książkę, niezawsze sumiennie obrobioną, sądy swoje opierają.

Ze oddajemy sprawiedliwość wysokiemu stanowi sku trójcy poetów naszych, bardzo to pięknie z naszej strony. Ale choćbyśmy spróbowali nie oddać im téj sprawiedliwości, obeszliby się może bez tego.

Wprawdzie i dla tych nawet światła poezji polskiej niezawsze sprawiedliwość w równym stopniu jak dzisiaj wymierzana bywała. Spróbujmy jednak zacząć o to krytyków (a żyją jeszcze z nich niektórzy) co w swoim czasie najsiłniej srożyli się na nich, a odpowiedzą nam niezawodnie, żeśmy źle zrozumieli ich słowa.

Pytanie jednak czy dobrze czynimy, odnosząc do arcydzieł tych poetów wszystko co się pojawia i sądząc przez porównanie. Czy porównanie dopusz-

czalne jest w takich razach, czy ono uczy albo rozjaśnia, czy ono może dać stałą normę do oceny? Gdyby tak rzeczy stały, w Anglii po Szekspirze nie byłoby żadnego dramaturga, Francya po Molierze nie miałaby ani jednej komedii, a Włochy po Dancie nie posiadałyby ani jednego poety. W takim razie po Rafaelu i Buonorottim, wszyscy malarze i rzeźbiarze byłiby tylko partaczami, nie zasługującymi na nazwę artystów. Bo choćby się znalazł nawet talent równy tamtym, współcześni nie śmieliby tego powiedzieć, a krytyk, ulegając koniecznej konsekwencji przyjętego przez siebie systematu, musiałby nań wyrzec wyrok potępienia.

Tak jednak nie jest i dobrze że nie jest. Obok gwiazd pierwszej wielkości, świecą także i drobne świeteczka, a widać potrzebni muszą być w naturze, kiedy Bóg je umieścił na horyzoncie.

Dziwny u nas jest los autorów. Ludzie w czem innym nie zważający na wydatki, kiedy idzie o książkę, stają się bardzo oszczędnymi i wyrachowanymi.

Za te kilka złotych, które czytelnik wydał na książkę, staje się on śmiertelnym wrogiem autora, uważając go za sprawcę wydatku jaki poniósł, a który na śniadanko lub cygara mógłby być daleko lepiej zużytkowanym; więc z góry przystępuje do czytania z nieprzychylnym usposobieniem. I kto wie czy to nie jest głównym powodem potępiających sądów, wydawanych podjazdowo na obecną literaturę naszą.

Jeżeli jednak autor umrze albo przestanie pisać, obawa oszczędnego czytelnika ustaje, bo żadna książka z pod pióra zmarłego albo milczącego autora wyszła, nie narazi go już na wydatek. W takim razie nieraz i krytyk, jako nekrologista literacki, pisze na cześć autora artykuł pośmiertny: *pius vixit, bene scripsit, sit ei terra levis*, garść ziemi rzuci się na grób, przy sposobności tu i owdzie zamieści się kilka słów pochwały, która nie już nie kosztuje, i skwitowano się nazawsze z tym człowiekiem, co życie niewdzięcznej pracy poświęcił.

Fredro wzrósł wtenczas dopiero, kiedy zarzekł się pisania; wówczas ci sami, którzy go od czci i wiary odsadzali, poczęli składać oracye na jego pochwałę, wyrzekając na smutny upór, który mu kazał pióro złamać.

A jednak zdania tych krytyków o Fredrze, doraźnością i bezwzględnością swoją przypominają przytoczony przez nas wyrok recenzenta Gazety warszawskiej o tutejszych poetach.

Bo doprawdy, całą winą tych ludzi jest że żyją, że pracują, że mając poczucie względnych zdolności, jakimi Bóg ich obdarzył, nie zagrzebują ich w rumowiskach w około nagromadzonych, że walczą, o ile im sił starczy, z obojętnością ogółu i trudnościami wszelkiego rodzaju niepodobnymi prawie do przełamania, i to nie dla chleba nawet, bo im go ta niewdzięczna praca nie zapewnia, ale dla spełnienia świętej powinności, zapoznawanej przez innych.

Smutnym zaiste w obec krytyka jest stanowisko krytykowanego. Ważne względy przyzwoitości światowej nie pozwalają mu odeprzeć zdania niesłusznego nawet, i musi je znieść z poddaniem się, chociaż z sercem gorczą przepelnionem. A położenie to tém smutniejszym staje się jeszcze, kiedy krytyka obiera sobie stanowisko na polu, na którym odpowiedź jest trudną, niepodobną prawie.

Boć jeżeli czynimy zarzut poetom dzisiejszym (a proszę pamiętać że unikamy nawet porównania ich z trójcą przez krytyka wspomnianą) to nie dlatego zapewne że nie mogliby dorównać Świteziance, Kurhankowi Maryli, lub wielu innym tego rodzaju luźnym pozytkom.

Należy pamiętać czego od kogo wymagać można i według tej miary sąd wydawać.

Nie będziemy polemizowali z krytykiem na polu dowodów, boć i on żadnych nie stawia, doraźnie chociaż stanowczo sąd swój wypowiadając. Powiemy tylko że nazwa poety ani pewnym kierunkiem, ani nastrojem utworu określić się nie daje. Może pod tym względem mają słuszną owę wyśmianę przez autora zasady poetyki, może nie mylą się i Francuzi, zbyt łatwo, podług niego, udzielający miano poety. Poezya, to siła twórczości, często bez samopoznania nawet; poetę po jednym ustępie tak więrsza jak prozy odróżnić można od prostego choć zręcznego robotnika. Czasem dzieło poety niezgrabnym jest i nie wytrzyma krytyki, podczas kiedy dobry robotnik, ale robotnik tylko, zadowolony krytyka pod

wszelkim względem. Ma słuszną recenzent, że u nas w tej sprawie pomieszane są wyobrażenia, bo czytaliśmy hymny pochwalne na cześć uczonych wypracowań, podczas kiedy rzecz z natchnienia płynąca uważaną była nieraz za drobnostkę nie zasługującą na wspomnienie. Ale żeby sąd o tém wydawać, trzeba umieć czuć; zdolność wyłącznie analityczna na to nie wystarcza. Uznajemy Dziady Mickiewicza za piękne, ale spróbujmy je rozebrać *secundum regulas artis*. Nie krytycy to zaprawdę wyrobili należyte stanowisko odznaczającym się poetycznym utworom. Dają oni uznanie i pochwałę tym, którzy już nie potrzebują tej zachęty i mogą śmiało obejść się bez niej. Ale jeżeli współczesnych sobie od pisania nie odstraszyli, nie ich to zaiste jest zasługa.

Łatwą jest rola krytyka, sądząc bowiem z góry o wszystkim, nie lęka się opozycji pokrzywdzonych, którym za własną sprawą ująć się nie wypada. Powinien jednak témbardziej czuć odpowiedzialność jaka na nim ciąży, zwłaszcza jeżeli zdanie jego ma za sobą powagę. W takim razie grzechem jest rzucać niuzasadnione wyroki, w sprawie wymagającej gruntowniejszego rozświetlenia, a zwłaszcza w sprawie w której to rozświetlenie jest bardzo trudnym, bo ją więcej sercem niż zimnym rozumem rozstrząsać trzeba.

Wacław Szymanowski.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów, w styczniu 1867.

O wszystkich tutejszych publikacjach literackich zdawałem wam z obowiązku sprawę w ciągu roku, a więc nie będę się tu powtarzał. Wojna, co w roku ubiegłym wszystkie stosunki nam pomieszła, której wpływ wszędzie i we wszystkim dał się uczuć, spowodowała przerwę i w ruchu literackim. Umilkły prasy, a natomiast przez całe lato zakładaliśmy szpitale i pielęgowali rannych. Milczenie to dotychczas nie zostało przerwane, chociaż szcęk broni ustał.

Ubyła nam też w roku ubiegłym jedna księgarnia, i to zasłużona, stara firma Kajetana Jabłońskiego. Ojciec dzisiejszego księgarza miał tutaj przed laty kilkudziesięciu antykwarnię. Prowadząc handel starami książkami, rękopisami i numizmatami, celował wielkim w zawodzie swoim znanostwem i zamiłowaniem starożytności. Nabywał takowe nietylko dla handlu, ale gromadził sobie zarazem prywatnie zbiór starożytności i autografów, który następnie przeszedł w ręce jego syna Kajetana. Zbiór autografów jaki tenże posiada, należy do najznakomitszych tego rodzaju. Stary Jabłoński z antykwarza został księgarzem i otworzył księgarnię książek wyłącznie polskich, czem wyróżniała się ona od innych tutejszych i cechę tę aż do ostatnich dni swoich zachowała. Nieprzyjemne okoliczności tegoroczne, tudzież niepomysłnie, spólnie z Hipolitem Stupnickim, podjęte wydawnictwo *Przeglądu i Przyjaciela domowego*, przyprawiły o upadek księgarni Jabłońskiego. Natomiast otworzył nową księgarnię Rychter, człowiek przedsiębiorczy, którego handel księgarski z każdym dniem nabiera tutaj więcej wziętości. Trudnił się on nim już od lat kilku, ale nie mając jeszcze firmy koncesyonowanej, sprzedawał książki na przedmieściu, gdzie mało kto o nim wiedział. Przed kilku miesiącami dopiero otworzył Rychter księgarnię w mieście, w pobliżu dawnej księgarni Jabłońskiego, przy jednej z najludniejszych ulic. Nie ograniczając się, jak Jabłoński, na handlu książek polskich, stara się on zaopatrzyć księgarnię we wszystkie nowości zagraniczne, a zarazem usiłuje wszelkich użyć środków, aby rozruszać ospały handel księgarski u nas. W tym celu powziął zamiar rozsyłania książek po prowincyi przez użytych do tego wędrownych agentów. Pomysł kolportowania książek po wsiach i miasteczkach przyjmuje się u nas wybornie, a ułatwiając niezmiernie nabywanie książek mieszkańcom prowincyi, wiele tym samym przyczyni się ku ich rozpowszechnieniu, a wraz z niem ku rozbudzeniu ochoty do czytania pomiędzy ludnością.

Wędrowny kramarz z książkami, idąc od wsi do wsi, zajrzy pod każdą strzechę, do każdego dworku szlacheckiego, do karczmy i do wieśniaczej chaty, a jeżeli będzie wiedział jaką komu książkę zalecić

jeżeli w tłómaczku swoim będzie miał stosowny ich dobór dla każdej warstwy ludności, to niezawodnie prędko pozbędzie się ciężaru i nowego zapotrzebuje zapasu. Tysiące takich ludzi, co o kupnie książki nie myśleli bynajmniej, albo dlatego że nie wiedzieli wcale iż istnieje taka właśnie, której im potrzeba, lub jaka im do smaku przypaść może, albo dlatego że po nią daleko do miasta jechać było potrzeba, tysiące takich, mówię, kupi książkę, skoro im ją ktoś do ręki podsunie, do przeczytania i kupienia zachęci. Niemieckie przysłowie mówi, że „sposobność tworzy złodzieja.“ Owóż przysłowie to nietylko do tak brzydkiego charakteru ludzi da się zastosować. Sposobność wielką w świecie rolę odgrywa. Nastęrczyć potrzeba sposobność, a znajdują się czytelnicy i kupcy. Pomysł rozesłania listów zwrotnych drukowanych, w których nie pozostawało jak tylko wciągnąć imię i nazwisko mającego chęć prenumerowania gazety, przysporzył redakcyom naszym odrazu tysiące abonentów. Kiedyśmy jeszcze nie mieli kolei żelaznych w Galicyi, które lotem pary dostarczają nam obcego przemysłu wyroby, fabrykanci wiedzący, chcąc uniknąć opłacania znacznych rabatów kupcom tutejszym, którym towary swe w komis poruczali, a oraz znając się na korzyściach sprzedaży cząstkowej, wysłali z Wiednia z towarami do Galicyi Słowaków węgierskich, mogących porozumieć się swem narzeczem słowackim z mieszkańcami tutejszymi. Szedł tedy ten tak zwany *Węgier*, z pudłem na plecach, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, pokąd nie rozprzedał wszystkiego poruczonego mu towaru. Jakaż to była radość w wiejskim dworze, gdy przyszedł taki Węgier z towarami i począł rozkładać różności zawarte w pudle swoim! Cały dwór zbiegał się i z ciekawością przepatrywał towar rozłożony. Dzieci klaskały w dłonie w uniesieniu radości. Słudzy wydobywali z kącików uzbierane swe oszczędności, by sobie kupić upodobany jakiś przedmiot, mający być ozdobą stroju świątecznego, lub też otrzymywali go w podarunku od pana lub pani domu. Dla dzieci były w tém pudle obrazki, ołówki i farby, dla starszych dyfdykowe chustki, perkaliki, materye bławatne, wstążki i t. p.; słowem każdy coś znalazł dla siebie, a zachęcony przykładem, namową lub pięknością towarów, kupił, choć nie myślał wprzód o podobnym sprawunku. Podobnie będzie z książkami, skoro się ten wędrowny handel u nas upowszechni. Wózek księgarski zagrości wszędzie, przywiezie każdemu do domu stosowną dla niego książkę, kalendarz i rycinę. Zachęcony, każdy kupi gdy mu to przyjdzie bez trudu, gdy sama książka pod rękę się nasunie; zamiar księgarza Rychtera zdaje się więc mieć wielkie widoki powodzenia.

W tym tygodniu zakończyły się wykłady naukowe, urządzone w ciągu miesiąca grudnia i stycznia na wsparcie ubogich słuchaczy wszechnicy tutejszej. Od lat kilku weszły w zwyczaj u nas wykłady takowe na rozmaite cele dobroczynne. Odbývają się one w sali radnej, a publiczność doborowa obojęd płcięlicznie zwykła się na nie zgromadzać. Szereg wykładów tegorocznych rozpoczął, podobnie jak i w roku zeszłym, prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego, bawiący tu podówczas jako poseł dr. Majer. Mówił o pielęgowaniu zwierząt i wychowaniu człowieka. W następnych godzinach odczytana była rozprawa z dziedziny nauk przyrodniczych prof. Urbańskiego i wyjątek z najnowszego dzieła historycznego Szajnochy. Profesor Małecki przez dwa wykłady mówił o rodowodzie romantyzmu w literaturze naszej i owęj tak głośnej a zaciętej walce klasyków z romantykami. Rozwiódł się obszernie nad pracami Zoryana Chodakowskiego i Kazimira Brodzińskiego, jako pierwszych, co dali pochop do zwrócenia się wyobraźni na nowe tory i nową literaturę kierunek wskazali. Niemniej zajmującym był wykład profesora akademii technicznej o galwanizmie, magnetyzmie i elektryczności. Począwszy od owęj historycznej zaby, której drgania poprowadziły umiejętność do odkryć, co wkrótkim przeciągu czasu postać świata zmieniły, prof. Strzelecki skreślił całe dzieje umiejętnego zbadania tych sił i zastosowania ich w życiu codziennem, począwszy od telegrafu, który dokładnie opisał, aż do używanego w chirurgii rozżarzonego ogniem elektrycznym drutu platynowego i motora Amerykanina

Page, jednego z najnowszych i wiele obiecujących wynalazków. Wykład prof. Strzeleckiego był, jak zwykle wykłady podobne, połączone z okazaniem doświadczeń, które bardzo widzów zajęły.

Gdy już mówimy o wykładach naukowych, wypada chociaż nawiasem wspomnieć o Towarzystwie technicznem, które zbiera się co sobota w sali radnej na posiedzenia, na których kolejno członkowie Towarzystwa miękają także wykłady w przedmiotach technologicznych. Wykłady te mają tę zasługę, iż członkowie Towarzystwa starają się zawsze wybrać przedmiot dotyczący jakowejś rzeczywistej potrzeby ogólnej lub szczególnej. Kilka już ulepszeń zaprowadzonych przez magistrat w mieście naszym, pod względem urządzeń sanitarnych, oświetlenia miasta i t. p., zawdzięczamy pomienionym pracom i wykładom Towarzystwa techników, na które także publiczność ma wstęp dozwolony. Ostatniej soboty jeden z członków Towarzystwa mówił o przewietrzaniu miast i najnowszych ku temu używanych środkach. Wykład ten był także do miejscowości tutejszej głównie zastosowany. Towarzystwo wprowadziło w tym roku tę nowość do programu swych posiedzeń, iż członkowie przyjęli na siebie obowiązek przedstawiania kolejno przeglądu tygodniowego treści pism technicznych zagranicznych, z podaniem wiadomości o nowych odkryciach, wynalazkach i pomysłach, wraz z treściwem onych ocenieniem. Urozmaiciło to znacznie posiedzenia tegoroczne i uczyniło je bardziej zajmującymi, gdyż następcza sposobność obznajmiania się z całym rozwojem i postępem nauk technicznych.

Zanadto może rozpisalem się o wykładach naukowych. Przedmiot to zbyt ciężki jak na karnawał, w chwili gdy grzmot muzyk balowych, huk tańców i różnorodny pisk masek zagłusza poważniejsze słowo i w inną stronę. Oprócz balów i redut publicznych, będziemy jeszcze mieli kilka koncertów i wieczorów muzycznych, które w karnawale bieżącym urządza Towarzystwo muzyczne. Szereg ich świetnie rozpoczął koncert amatorów, na korzyść ubogich uczniów akademii technicznej, tudzież koncerta Frimana, nadwornego skrzypka-solisty księcia heskiego. Młody ten artysta, rodem z Lublina, uczeń konserwatorium paryżskiego, należy już dzisiaj do rzędu najznakomitszych skrzypków, a znawcy rodzaj gry jego porównują do gry Wieniawskiego. Dawszy tu parę koncertów, uczynił p. Friman wycieczkę do Czerniowic, gdzie grał koncert wspólnie z gitarzystą Szczepanowskim. Obecnie powróciwszy do Lwowa, zamierza dać *poranek muzyczny* w teatrze, podobno z tej przyczyny, że nie mógł się z dyrekcją teatru o odstąpienie mu wieczoru porozumieć. Rzecz, jak nazwa, u nas nowa, gdyż nie bywało dotąd tutaj w zwyczajnie dawać koncertów przed południem, w godzinach porannych. Wszelako wziętość jaką p. Friman zyskał poprzednimi swymi koncertami u muzykalnej publiczności tutejszej, zgromadzi ją zapewne tym razem licznie w teatrze, pomimo niezwykłej, obranej na koncert, pory.

Na zakończenie dodam jeszcze słów kilka o odbytych dnia wczorajszego popisach gimnastycznych tutejszej straży ogniowej. Wzorowe jej urządzenie jest poniekąd rękojmią bezpieczeństwa miasta, a Lwów do niedawna nie miał takiej rękojmi, gdyż dopiero od dwóch lat, od ostatniego pożaru, co w przeciągu godziny pochłonął jedenaście domów jednej z najgłówniejszych ulic w pobliżu rynku, pomysłała Rada miejska o zupełnej reorganizacji korpusu pompierów miejskich i czynnie zabrano się do niej. Nieudolny i nie mający potrzebnej znajomości rzeczy naczelnik pompierów, ugodzony w głowę spadającą belką podczas pomienionego pożaru, umarł w parę dni później. Chodziło więc o to, aby miejsce opróżnione zajął ktoś należycie w zawodzie tym uzdolniony. Szczęśliwy wypadek zdarzył, iż właśnie w owym czasie burmistrz tutejszy, będąc za granicą, w przejeździe przez Moguncję, był obecny ćwiczeniom tamecznej straży ogniowej, pod kierunkiem p. Prauna, Galicyanina, który ukończywszy szkołę wojskową, był oficerem w armii austriackiej, a później osiadł w Moguncji. Burmistrz nasz, zachwycony dokładnością ćwiczeń których był świadkiem, namówił p. Prauna, aby przyjął posadę naczelnika straży ogniowej we Lwowie. Przybywszy tu, p. Praun przedstawił Radzie miejskiej plan reorganizacji straży ogniowej, a gdy plan ten Rada za-

twierdziła, przeprowadził go sprężyście i umiejętnie. Sprowadzono nowe przyrządy do gaszenia ognia, najnowszej budowy, z Wiednia i Anglii; umundurowano nanowo straż ogniową, przyczem otrzymała ona tyle użyteczne i odpowiednie celowi hełmy mosiężne, jakich dawniej nie miała, i założono szkołę gimnastyki. Popis wczorajszy okazał, jak wielkie postępy uczyniła straż nasza ogniowa w przeciągu roku. Popis odbywał się w przystrojonej odpowiednio w wieńce, chorągwie i godła strażnicy miejskiej, w obec kilku generałów i wyższych oficerów tutejszej załogi, członków Rady miejskiej, tudzież zaproszonych znakomitszych obywateli miasta. Nauka gimnastyki w szkole pompierów, której udziela p. Szytyliński, zastosowana jest głównie dla nich i różni się od zwykłej gimnastyki. Zręcznością do najwyższego stopnia rozwiniętą w drapaniu się po linach, w przeskakiwaniu murów wysokości człowieka, w dźwiganiu i przerzucaniu ciężarów i t. p. wprawiali pompierowie nasi w zdumienie zgromadzonych widzów. Zakończyły popis grupy układane malowniczo z kilkudziesięciu osób, w zupełnym umundurowaniu. Rada miejska wynagrodziła pompierów datkiem trzydniowego żołdu dla całej straży.

ROZMAITOŚCI.

Jan Grotkowski, nieznaną poeta polski z XVII wieku.

Przy pilniejszym badaniu źródeł dawnego piśmiennictwa polskiego, od czasu do czasu odkrywają się nowi autorowie, których znakomite utwory stawiają ich w rzędzie cenniejszych naszych pisarzy. Takim niedawno ukazał się Wacław Potocki, autor wyborowego poematu „Wojna Chocimska”; teraz mamy znówu świeżo odkrytego a podobnie niepospolitego poetę, o którym w żadnej historii literatury, ani w Encyklopedyi powszechnej, dotąd jeszcze nie było wzmianki. Jest nim bezimienny tłumacz sonetów Petrarki, przechowanych w rękopismach biblioteki Zamajskich w Warszawie, z kąd wyjątki drukowane były w 4 tomie czasopisma lwowskiego Biblioteka Ossolińskich. Rzucony wtedy domysł L. Nabelaka, że piękny ten przekład jest pióra Jana Grotkowskiego, sprawdził się obecnie przy ogłoszeniu w 8 tomie tegoż czasopisma innych jego przekładów z tego samego źródła, mianowicie zaś dwóch głośnych w swoim czasie poematów, z których pierwszy Petrarki *Tryumf miłości*, drugi Wilhelma Burtasa *Tryumf wiary*.

O samym tłumaczu czynione poszukiwania wykryły, że Jan Grotkowski należał u nas do pierwszorzędnych w XVII wieku poetów i już w 1645 roku słynął ze swoich poezyj. Andrzej Morsztyn, sam poeta niepospolity, który go w nagrobku dla dziada swego Otwinowskiego wtedy właśnie pisany wspominał, a w innych poezjach swoich obszernie się o nim rozpisuje, jest dla niego z największym uwielbieniem, przyznaje mu pierwszeństwo przed wszystkimi swojego czasu poetami i poddaje pod sąd jego swoje utwory.

Od niego dowiadujemy się, że Grotkowski był pisarzem pokojowym królewskim i internuncyuszem w Neapolu, gdzie z polecenia królewskiego zajmował się sprawą summ tak zwanych neapolitańskich, po królowej Bonie Polsce przypadających; że posiadał biegłość w językach obcych, mianowicie zaś włoskim i łacińskim. Żył tedy i słynął już za panowania Władysława IV i temutóż monarsze wyżej wspomniany przekład swój poematu Petrarki poświęcił. Jan Czechowicz, współczesny wierszopis krakowski, uwielbił Grotkowskiego jako swojego dobroczyńcę w rymowanym panegiryku na dzień jego urodzin 1662 r. napisanym, w którym jest dowód że jeszcze wtedy był sekretarzem króla Jana Kaźmirza. Inny znówu wierszokleta, Andrzej Kantelli, uczeń podówczas gramatyki, napisał przy téjże sposobności ośmiowiersz łaciński na herb Grotkowskiego Ogończyk.

Nakoniec w Morsztynie są także wzmianki, że Grotkowski nie tylko tłumaczył, ale i oryginalne śliczne pisał poezje, dotychczas nieznanne. Otóżi wszystko co o nim odkryć udało się. W każdym jednak razie, sądząc z ogłoszonych dotąd jego prac, przybywa do historii literatury polskiej XVII wieku nowe imię, nowy poeta, któremu, jeśli uwzględnimy należycie czas jego, ani zdolności, ani zasługi odmówić nie można. Oto na próbę przekład jego jednego z sonetów Petrarki.

Pokoju mieć nie mogę, wojska nie szykuje,
Bojaźń, otuchę, ogień, lód widzę u siebie,
I czołgam się po ziemi, i latam po niebie,
Cały świat zagarnawszy, nic nie obejmuję.

Temu co mię nie trzyma, nie puszcza, hołduje,
Anim związany od niego, ani rozwiązany,
Ani żyw, ani troski próżen się być czuję.

Bez oczów widzę, wołam, języka nie mając,
Chcę sam zginąć, a przecie o ratunek proszę,
Sam siebie nienawidzę, a inszych miłuję.

PIÉRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

Widując prawie codzień doktora, Adaś zabrał znajomość z jego szczupłą lecz doborową biblioteką, czytał chciwie znakomitych poetów, porywał historią ojczystą i nie mogąc tak jakby pragnął zmęźnić i wyrość ciałem, rósł i męźniał umysłem.

Pogadanki z doktorem, których głównym przedmiotem było to naturalnie, co treść i powód ich stonku stanowiło, nie ograniczały się jednakże wyłącznie do tego przedmiotu. Ludwik polubił młodego chłopca i znalazł w nim co się spodziewał: charakter, zdolność i chęć nauki, Wierny powziętej myśli, starał się rozwijać te usposobienia młodzieńcze i zręcznie a skutecznie otwierał działalności umysłowej Adasia nowe, nieznanne mu dotąd pola.....

Kilka tygodni upłynęło w ten sposób. Rozpoczęła się zima; grudzień przybliżał się do końca.

Jednej niedzieli, po wyjściu z kościoła, Adaś zaprosił się na obiad na pocztę. Powietrze było wilgotne, ostry chłód w kościele przejmował wszystkich do kości. Kuzynka, zdaniem Adasia, ubraną była zalekko, — drżała.

Zaledwie weszli do domu, Marynia pobiegła na chwilę do kuchni, gdzie było gorąco jak w łaźni. Adaś chciał ją zatrzymać, — nie słuchała.

W kwadrans potem dano do stołu i Marynia weszła do stołowego pokoju.

Adaś spojrzął na nią i zbladł.

Symptom zauważony przez doktora powtórzył się, poraz pierwszy zapewne od owęj niedzieli kiedy go Ludwik zobaczył. Wątyły rumieniec zdobił jedną stronę twarzy, druga była blada jak śnieg.

Na zupełny barszcz z uszkami, ulubiona pana Jana potrawa. Adaś skosztował: barszcz był kwaśny, jak to w domu Dzieców lubiono.

Kuzynka skosztowała także i po kilku łyżkach kasiać zaczęła. Poniosła chustkę do ust, — Adaś patrzył uważnie i zdawało mu się że chusteczka zaczerwieniła się krwią.

— Maryniu! — zawołał przerażony, — nie trzeba tego jeść! to zakwaśne, to szkodzi!....

Marynia odpowiedzieć nie mogła.

— Dzieciństwo, — rzekł pan Dżicz, — nasz polski barszczyk z uszkami *ad rem* nikomu szkodzić nie może. Zachłysłęła się dziewczyna i basta. Już to od dziecka psota takie żywe.

Kaszel przeszedł, Marynia zbladła zupełnie i po chwili chciała się zabrać znowu do ulubionej, z całą sztuką polskiej gastronomii przyrządzonej potrawy.

— Kuzynko, nie jédz, nie pozwól! — zawołał Adaś.

— At, dałbyś pokój chłopce, — wstawił się pan Dżicz, — bagatela!... Choć z resztą może masz i rację.... barszczyk cokolwiek dzisiaj zabardzo *ad rem*... Nie jédz, aniółku.

Kiedy indziej Adaś byłby szczęśliwy z takiego zwycięstwa; dziś był roztargniony i smutny.... Chusteczka krwią zbroczona, stała mu ciągle przed oczyma.

Wkrótce po ukończeniu obiadu, kuzynka zakaślała znowu.

Adaś wyszedł przerażony i w rozpacz. Pobiegł do doktora, lecz nie zastał go. Z rozpaloną głową powrócił do swęj stancyjki.

— Co ja pocznę? nieszczęsny! co pocznę? — wołał, załamując ręce. — On ma racją!... wszystko stracone!... Rumieniec!... kaszel!... krew!!!...

Padł na kolana przed obrazem Matki Boskiej jasnogórskiej i długo modlił się gorąco.

Po skończonej modlitwie wstał spokojniejszy, lecz błady, z wyrazem dziwniej bolesti na twarzy.

— Trzeba działać, — powiedział, — minuty do stracenia niema. Jediną drogą jest droga ofiary... straszna... okropna!... Ale byłbym podły, gdybym się cofnął... Los rzucony... idę!...

Wyszedł i powolnym krokiem podążył znowu ku mieszkaniu Ludwika.

W drodze obejrzał się raz jeszcze... stanął... i popatrzył chwilę na pocztalteryę...

Ży zakreślił mu się w oczach, powstrzymał je całym wysileniem młodzieńczej woli, odwrócił wzrok od mieszkania Maryni i nie patrząc za siebie, spieszenie, jakby się bał żeby mu siły nie zabrakło, szedł dalej....

Doktor był już u siebie.

— Nieszczęście! — zawołał wchodząc Adaś, — symptomat się powtórzył!... Kuzynka kaszle... chora... zaziębiła się... pluje krwią!...

— Boże! — wykrzyknął Ludwik.

— Trzeba działać, panie Ludwiku, działać stanowczo... działać tobie samemu... Ja się na nic tu już nie przydam....

— Jak to było? opowiedz, — pytał przerażony Ludwik.

— Mniejsza o szczegóły, — odparł Adaś, jakby chcąc prędzej wymówić bohaterkie słowo z którym przyszedł, — chesz ratować Marynię?...

— Pytasz się jeszcze, Adamie?

— Chcesz mieć możność działania, pewność skutku... wszystko?...

— Życie moje dałbym, by ją ocalić.

— A więc, Ludwiku, poświęć to życie dla niej... zeń się z nią!...

To powiedziawszy, Adaś, któremu sił już nie starczyło, upadł na sofę, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak dziecko.

Cóż chcecie?... w dziewiętnastym roku życia można mieć dość heroizmu, żeby złożyć przedwcześnie rozbudzoną miłość, jako *hekatombę* u stóp ołtarza *boskiej Eskulapy*, lecz nie można mieć jeszcze tej stoickiej siły, żeby nie płakać po takiej ofierze.

VI.

Puls. — Przebaczenie. — Barszcz.

Wieczorem tej samej niedzieli zaniepokojony doktor poniósł na pocztalteryę swe serce, którego gwałtownym biciem przypominało mu, że czas już użyć jego interwencji, jak to nawet ze łzami bolesti nieszczęśliwy Adaś doradzał.

Zastał, jak zwykle, pana Dzięca w kancelaryi, poczciwy bowiem biuralista nigdy nie mógł wszystkiego wykończyć w godzinach służbowych i zawsze znajdował coś do roboty, nawet wieczorami i w święto.

— Witajże mi, *ad rem*, panie konsyliarzu dobrodzieju, — rzekł pan Jan, nie wstając od biurka. Układam tutaj właśnie wykaz statystyczny pasażerów, panie, *ad rem*. Liczba ekstrapoczt zdaje się powiększać widocznie. W zaprzeszłym roku było ich sto szesnaście, w przeszłym sto osiemnaście, w tym roku zdaje się że do stu dwudziestu dojdzie. Najwięcej panie idzie *ad rem*.

Tu pan Dzięca zrobił ręką gest wskazujący, że *ad rem* znaczyć miało do stacji kolei w Zawierciu.

— Jest to mozolna praca, panie, — mówił dalej pan Dzięca; — urząd pocztowy takich raportów nie wymaga, ale ja to robię *ad rem*, bo u mnie panie przedewszystkiem porządek. Każdy panie pasażer może być pewnym, że w Pilicy będzie zaciągnięty *ad rem*.

I uderzył ręką w dość grubą księgę, jakby chciał wskazać, że to ona tym razem *ad rem* znaczyć miała.

— Ale ciebie to, panie, nie obchodzi... — zaczął znowu pan Jan.

— Przeciwnie, panie pocztaltherze, — odrzekł

Ludwik, — przeciwnie. Ja także cenię porządek w służbie i wiem że jestem również urzędnikiem. Prowadzę skrupulatnie kontrolę pacjentów, registr recept i wizyt, statystykę chorób....

Ludwik kłamał, jak prawdziwy aspirant na zięcia, jeżeli bowiem ta kontrola pacjentów mieściła się w sercu doktora, to tam dopiero jedna pacjentka naprawdę zapisaną była, — o żadnej innej, nawet o Władzi regentównie, co zaczynała zapadać w żółtaczkę, nie było najmniejszej wzmianki.

— A, tak lubię, panie, bo to jest, panie, co się nazywa *ad rem*, — odpowiedział z zadowoleniem pan Dzięca.

Doktor dowiedział się nareszcie, co się w istocie nazywało u pana Dzięca *ad rem*.

— Szkoda tylko, — prawil pan Dzięca, — że mam tak mało czasu i że na służbie zdrowia nie znam się *ad rem*, bobym ci zaraz zrewidował twoje kontrole, panie konsyliarzu, a niechnoby nie były w porządku, miałbyś mi się dopiero *ad rem*, nieboraku.

Roześmiał się pocztalter, a Ludwik zastanawiał się nad tém, czy nie byłoby lepiej ażeby pan Dzięca znał się na służbie zdrowia i jego kontrolę serdeczną zrewidował zechciał. Jako urzędnik, możeby tam napotkał straszny nieporządek, lecz jako ojciec, możeby go wybaczył i chciał udzielić swoje przyzwolenie *ad rem*....

— No, ale mniejsza o to, — kończył pan Dzięca, — ja tu jeszcze popracuję troszkę, a ty idź panie, *ad rem*, do Maryni. Zabaw ją trochę, Warszawiaku, a nie trać czasu, bo dziś dziecko wcześniej spać pójdzie. Kaszało to biédactwo trochę i na porządne poty lipowego kwiatu, *ad rem*, trzy dobre szklanki wypić musi.... A!... byłbyś jęj może, panie, jakie pigułki albo proszki zapisał?... hę?... Ani mi się waż, konsyliarzu!... Ja w tobie, panie, cenię *ad rem* urzędnika i człowieka, a nie jednego z tych, co nam medycynę przeinaczyli i zamiast ziółek, które Pan Bóg dał, używają jakichś tam jodów, bromów, antymonów i potażów, które wysmażyli ludzie. Nic z tego! nic z tego!...

To powiedziawszy, pan Dzięca poprawił okularów na nosie, objaśnił świecę, bo używał łójówek, a nowomodnej stearyny był takim samym jak mineralnych leków przeciwnikiem, wysłuchone gęsie pióro (widok stalówki w rozpacz go wprowadzał) umaczał w olbrzymim drewnianym czarnym kałamarzu, formy od wieków w biurach używanej, i zaczął dalej liczyć swoich pasażerów.

Ludwik skorzystał z rady i nie tracąc czasu, poszedł do Maryni.

Pacjentka była w bawialnym pokoju, czytała książkę. Nasz bohater, wchodząc, rzucił na nią spojrzenie, w którym czy było więcej patologicznej ciekawości, czy wcale innego uczucia, niech piękne czelniczki odgadną. Doktor znalazł ją nieco mizerną, lecz student Ludwik cudniejszą jeszcze przez to ją uznawał.

Marynia przywitała go z uśmiechem.

— Gdybym miała z kim, — rzekła, — byłabym się założyła, że dziś, przy takim nieprzyjemnym powietrzu, nikt się nie pokaże na pocztcie. I byłabym przegrała przez pana, panie doktorze.

— A! to szkoda, — rzekł Ludwik, że nie było nikogo, coby przyjął zakład.

— Jaktó?... pan mi życzysz przegranej?... zawołała Marynia, śmiejąc się w duchu na myśl, że doktor dobrze się nakłopotci, nim się z tego zarzutu wytłumaczy zdoła.

— Tą razą życzę, i to najserdeczniej, panno Maryo, — odrzekł Warszawiak, — bo to byłaby słuszną karą za nienajlepsze myśli o dobrych znajomych....

Po tych kilku słowach wyrzeczonych na wstępie, Marynia podała rękę gościowi, która to moda rozpowszechniła się naówczas już nawet na parafii pilickiej.

Drobna rączka Maryni, nieco dłużej niż tego zwyczaj wymaga, spoczęła w męskiej dłoni naszego doktora. Marynia jakoś zrazu nie spostrzegła tego i dopiero po chwili, cofając prędko rękę, zawołała:

— Oho, musiał już panu ojciec powiedzieć, że mnie dziś postanowił ukarać potami, zato zem się zakrzusiła przy stole, bo pan doktor, jak widać, chce puls kontrolować.

— Ojciec pani ma słusność, — odrzekł Ludwik; — nie trzeba nigdy zaniedbywać drobnostek. Jestto jedyny sposób uchronienia się od przykrych następstw, zwłaszcza gdy idzie o skarb tak łatwy do stracenia, jak zdrowie.

— Wybornie, wybornie! — odpowiedziała wesoło Marynia, — powtórz to pan przy ojcu, radź pan kwiat lipowy, a na przekór dla dyplomowanego doktora, ojciec mnie niezawodnie uwolni od ziółek. Zrób pan tak, a będę panu wdzięczną aż do jutra rana. Zgoda?....

— Nie, pan!... — zaczął się tłumaczyć Ludwik.

— Nie przystajesz pan? rzekła z udanym zafrasowaniem Marynia; — to cóż ja nieszczęśliwa mogę myśleć innego, chyba to, że mój puls niegodziwy musiał panu bardzo okropne rzeczy o mojem zdrowiu wygadać?

Doktor spostrzegł że rozmowa wchodziła na dosyć drażliwą materyę. Nie mógł wmawiać zdrowia w Marynię, boby ją to zachęciło do lekceważenia tego skarbu; nie mógł jęj powiedzieć, że potrzebuje leczenia, bojąc się tym sposobem oddziałać zgubnie na jęj wyobraźnię. Postanowił zatem zwrócić rozmowę i odpowiedział:

(Dalszy ciąg nastąpi)

Strzechy ubogich.

Widziałem strzechę rolnika ubogą,
Pełną, śród bólów, wytrwałości cichęj;
Gdy głód zawita tam na niwie lichęj,
Krzyż, znak pokory, wyrasta nad drogą;
Gdy ogień porze i stóg i owczarnię,
Zdwojoną pracą czeladź raźnie radzi;
Gdy śmierć-włóczęga o próg ten zawadzi,
Bardziej się żywe do żywego garnie!...

To jedna; inne widziałem śród wioski
Siedziby nędzy, odarte z sił ducha:
Gdy głód na pole sprowadzi posucha,
Kłątwy miotają na ten wyrok Boski;
Gdy się pożoga nad siołem rozżłości,
Nadzy, ramiona spuszczaają bezwładnie;
Gdy śmierć się z kosą pod strzechę zakradnie,
Żywy żywemu żdźbła życia zazdrości!

Błogosławieni cisi i wytrwali!
Praca i wiara życia ich kolczugą;
W niej nad krateru przejdą wrzącą strugą,
Jak feniks silni, odmłodzeni, cali!
Biada tym drugim! — Przedwieczna ich dola
Prometeusza wołać w niebo głosem,
Bezużytecznie znosić cios za ciosem.
I jak cień grzeszny znikać z ofiar pola....

E. Ch.



Panu Zi.... W wierszu *Do szampana* ironia tak jest subtelnie ukryta, że czytelnicy nie wątpliwie wzięliby ją za prawdę. Autorom i autorkom wierszy: *Do anioła stróża*, *Stary rok*, *Sen* i *Bez tytułu*. Wymienione tu utwory w Tygodniku drukowane nie będą.

Panu J. G. w *Kurlandyi*. List pański zakomunikowaliśmy współpracownikowi naszemu, redagującemu rubrykę odkryć i wynalazków, który, o ile to uzna za właściwe, zrobi z niego użytek.

Szanownych prenumeratorów naszego pisma z *Czernięcina* i *Korycina* upraszamy: piérwszego o całkowity adres, drugiego o wskazanie najbliższej poczty, a to dla możności przesłania im początku powieści, o który się upominają.

Panu S. W. w *Warszawie*. Nad nadesłanemi rebusami mogliście się nie mieliśmy czasu. Prosimy na drugi raz o wyraźne wypisanie i narysowanie, a przynajmniej określenie.

Panu P. A. W. w *Petersburgu*. Niewłaściwe używanie *h* i *ch* odrębną jest cechą pisma, o jakiem pan wspominał. *Haos* zamiast *chaos*, *chumorystyczny* zamiast *humorystyczny*, *chistoire* zamiast *histoire*, nikt zresztą u nas nie pisze i pisać nie będzie. Możesz więc pan najspokojniej pozostać przy dawnym, dobrym swoim zwyczaju.